PRZEŻYCI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

napisał

N U L.

Część trzecia.

I.

Ksiądz Paweł kolanami dotknął ziemi i ukrył w pomarszczone dłonie swą twarz poczciwą; nieopodal zagłębiona w starym fotelu, cicho płakała pani Skalska. Julek, oparty o ramę okna, napróżno usiłował poskromić kurczowe łkanie, co mu rozsadzało męzkie piersi..... Tam w cieniu na łóżeczku panieńskiem, na tym czystym tronie marzeń i rojeń, leżał sztywny trupek Zosieńki. Twarzyczka wynędzniała chorobą, blada, włosy jak złote promienie rozsypane po wezgłowiu, a kwietniowe słońce przedzierając się przez krzaczki geranii i muszkatelu, zieleniejących u okna tej panieńskiej komnatki, muskało to po ustach bladziuchnych, które się jeszcze poruszać zdawały, to całowało zamknięte na wieczność powieki o niebieskich, delikatnych żyłkach, pełnych jeszcze krwi nie zastygłej...

Śmierć przed chwilą tędy przeszła i życie zatrzymało się w wątłym organizmie, wypieszczonym miękko od natury, nie zahartowanym w bojach walki o byt. Dziewczyna umiała kochać, tęsknić i płakać, a rosa łez gryząca rujnowała jej zdrowie, które jak pączek, w spokoju i świetle mogło się tylko rozwinąć. Szczęścia jej brakło i Zosia bezwładna, zrezygnowana, cichutka, ze swym od Juljusza otrzymanym kwiatkiem, jaki umierając zmięła w zaciśniętej dłoni, wionęła w świat, o którym jedni mówią, że jest lepszym, drudzy, że jest wielką niewiadomą, a inni, że jest nicestwem.

Ksiądz Paweł zrozumiał w końcu co się dzieje z jego synowicą, bo Julek otwarcie mu wskazał ranę jej serca.

— Ojcze, ratuj Zosię,— wołał młody człowiek przypadając do kolan kanonika,— ratuj ją, przywołaj Juljusza, ona go kocha, za nim tęskni, ona umrze... patrz jak zmieniona, jaka blada, bezsilna.

Porwał się ksiądz za głowę siwą.

— A ja wysłałem sam Juljusza, zkąd wróci nie należącym do świata, do siebie, do nas...

— Niech wraca, wraca prędko, — westchnął Julek.

— Cierpisz, biedaku?—spytał ksiądz, któremu się coraz jaśniej przedstawiać poczęły wzajemne stosunki między młodszą generacyą swych domowników.

— Tak ojcze, cierpię, iżem tak długo czekał, żem ci tego nie powiedział, żem cię nie ostrzegł. Sądziłem, że czas, oddalenie, wyleczą Zosię... Ach! liczyłem jak egoista obrachowując własne szczęście. Zawiodłem się. Niech przyjeżdża Juljusz, on jej powróci zdrowie.

Ale życia Zosi nic już wrócić nie mogło. Wytrawny doktór stanowczo zawyrokował, iż godziny jej są policzone, wiosna położy kres wątłej egzystencyi...

— Mój wujciu,— odezwało się raz dziewczę po strasznym paroksyzmie kaszlu, — ja wiem, że umrę... po co trwożyć żywych — nie piszcie nic o tem Juljuszowi, nie piszcie nic Maryni... dość będzie, gdy się na moim pomodlą grobie.

Inną razą była zupełnie pewną wyzdrowienia, nie trzeba aby wiedziano, że chorowała.

Ale ksiądz Paweł napisał natychmiast do Juljusza żeby wracał, napisał do Maryni, żeby przyjeżdżała. Tylko, rzecz dziwna, żadnej na swoje listy nie odebrał odpowiedzi. Dopiero w dwa

miesiące zawiadomiono z Warszawy księdza kanonika, iż Marynia po długiej śmiertelnej chorobie, nareszcie zaczęła przychodzić do zdrowia, ale z polecenia lekarzy nie będą jej komunikować żadnych listów, żadnych wiadomości, gdyż to mogłoby zagrozić jej rekonwalescencyi.

Ksiądz więc sam na plebanii pozostał z umierającem dziewczęciem. Czyliż taką dla tych dzieci, gdy je w dom przygarniał, roił przyszłość? Jedno pada w walce z życiem, drugie gaśnie z braku warunków do życia a trzecie... gdzieś daleko zapada w mrok i nie daje znaku o sobie.

Julek z poczciwą matką swoją otaczali plebanię opieką, jakiej tak bardzo potrzebowała.

Teraz wszystko się skończyło, dzieweczka usnęła na wieki, stary ksiądz schylił siwą głowę...

Julek z wezbraną piersią od bólu, stał nieporuszony. Minął więc jego uroczy sen, zostawiając tylko gorycz. Jakżeby czule pielęgnował to dziecię, jakżeby ona odważnie mogła patrzyć w przyszłość, wsparta na jego ramieniu! Tam w Zaosiu byłby jej usłał gniazdko ciche, spokojne, obfite w dobrobyt i szczęście. Jakżeby raźnie huczały kowadła jego kuźnic, jakżeby jasno świecił ogień z czeluści jego kominów a w takt temu krążeniu

naturalnych mocy zaprzągniętych w rydwan człowieczej pracy, jak ochotnie wytężałyby się ludzkie dłonie i biły ludzkie serca! A dziś, wszystko to garść popiołów i długie życie samotne, dzielone między twardym znojem a żalem za utraconem szczęściem.

Jednocześnie wzrok Julka błądził po dobrze znanej okolicy Lipia; z borów czepiających się po górach co otaczały dolinę, wiało rzeźwe powietrze wiosny, woda burzyła się i pieniła w strumieniu, zaledwie mogąc się pomieścić w korycie między dwoma darnistemi brzegami; drzewa były pełne pączków oblepionych mazistą żywicą, gotowe jednak rozwinąć swe liście, po niebie zaś toczyły się chmury białe, gęste, jakby przepełnione złotodajnym deszczem. Natura nabrzmiewała sokami, życiem, gotowała się do nowych godów— a tu w tej ciasnej izdebce, agonia ludzka zakończyła się śmiercią, grzebiącą tyle bogatych, błogich nadziei.

Jak długo trwał stan odrętwienia trojga osób zebranych u śmiertelnego rydwanu Zosi — nikt nie mógł sobie nigdy już tego przypomnieć. Tymczasem naokół zapanował ruch zwykły w takich wypadkach. Domownicy, domyśliwszy się co

zaszło w pokoiku dzieweczki, poczęli się krzątać, aby usłać ostatnie łoże śmierci kochanej panience. Zakrystyan uderzył w dzwonek, długim jękiem obwieszczający śmierć ludzką, a baby ze wsi mrucząc pacierze poczęły odwiedzać umarłą.

* * *

Mogiłkę dla Zosi wykopano między czterema wielkiemi topolami, co od wieku szumiały na skromnym cmentarzu w Lipiu. Było to najlepsze miejsce na tej dolinie śmierci, tulącej się pod mury wiejskiego kościołka; kącik koło muru, po za którem spadało wzgórze urwistą krempą aż ku rzeczułce do jakiej wpływał zdrój czysty. Z tego miejsca roztaczał się czarujący widok na okolicę... Tu ksiądz Paweł lubił przychodzić w dni piękne na poranne pacierze, aby się przypatrzyć wspaniale z po za gór i borów wschodzącemu słońcu. Teraz biedny kapłan obleczony w żałobne szaty, brał z rąk zakrystyana kropidło, aby raz ostatni przeżegnać święconą wodą śmiertelne zwłoki dziewczęcia, co miało być mu pociechą i nadzieją w życiu. Wszystko co żyło w Lipiu i w okolicznych wsiach parafii, zbiegło się na pogrzeb

siostrzenicy kochanego „dobrodzieja" i w malowniczych grupach, jak łan głów ludzkich falował na cmentarzu wiejskim. Przenikające tony hymnu „Salve Regina" milknąć poczynały, kiedy zrobił się w tłumie ruch niezwykły i rozległ się szept zrazu cichy a potem wyraźniejszy:

— Poczekajcie, poczekajcie, siostry jadą...

Jakoż główny gościniec przerzynający Lipie tentniał turkotem, a kto spojrzał przez mur cmentarny mógł widzieć dwa szare kłęby kurzawy goniące się wzajemnie... Dla czego dwa, kto po wiedział temu tłumowi, że to siostry jadą, kto uwiadomił te siostry o śmierci Zosinej?! Tego nikt powiedzieć w tej chwili nie mógł. A jednak powozik wynajęty na stacyi kolejowej, zbliżał się szybko do wrót cmentarza i za chwilę wysiadły zeń dwie kobiety, całe ubrane w czerni z twarzami owiniętemi w długie czarne welony. Pierwsza odsłoniła krepę Marynia — tak Marynia, ale jakże blada, nędzna i zmieniona. Gdyby nie regularne i klasyczne rysy, gdyby nie wyniosła kibić, pełna majestatycznej prostoty, gdyby nie te przejrzyste niebieskie oczy, istny cud u szatynki—któżby w tej kobiecie poznał o parę lat zaledwo starszą siostrę, tej tu zmarłej. Druga z kolei

odsłoniła woal Natalka... Ach to starsza jeszcze siostra, któżby wątpił, te same rysy familijne, ten sam zarys czoła, te same niebieskie oczy peł fosforycznego blasku, głębokie jak toń morska, jaskrawe jak jutrzenka. Tylko płeć tej świetnej blondynki taka matowa, czoło takiemi już poorane bruzdami, oczy taką ramą zmarszczek w głąb wciśnięte, a twarz taka zmęczona, jakby to była głowa nie młodej jeszcze, ale przedwcześnie zwiędłej kobiety.

Obie przybyłe szybkim postąpiły krokiem i zatrzymały się u grobu, na brzegu którego stała trumienka ich siostry... Zsunęły się na kolana— a Marynia konwulsyjnym ruchem objęła wieko...

— Otwórzcie, niech siostry zobaczą biedaczkę zmarłą..,—podniósł się jakiś głos.

Ksiądz Paweł, szepczący przez cały ten czas pacierze, skinął na znak przyzwolenia...

Puściły goździe i odchylono wieko. Panienka jakby spała... Śmierć dobrotliwa niby czuła matka, dłonią łagodną pieszczotliwie wyrównała ślady długiej choroby i twarzyczka Zosi w loczkach płowych, z przymkniętemi oczyma, nie straszną i odrażającą, ale była miłą i łagodną. Rączyny splecione trzymały zwiędły kwiatek, który

jej dobry ksiądz skoro krzyż chrześciańskim obyczajem wyjęto — w dłonie włożył. Był to wzruszający widok tych pożegnań siostrzanych.

— Połączymy się wkrótce,—szepnęła Natalka, a purpurowa plama zabarwiła chustkę, którą poniosła do ust chcąc stłumić nagły poryw kaszlu.

— Śpij spokojnie — biedne dziecię, — mówiła łkając Marynia.

Wiatr coś szeptał śród konarów starych topoli—obecni odmawiali pacierz.

Kiedy już z grudek ziemi czarnej usypano nad mogiłą Zosi pagórek, stroskany ks. Paweł z siostrzenicami wolno szedł ku plebanii. U wrot cmentarnych stała strojna, rozkwitła, pełna zdrowia i piękności Ernestyna, oparta na ramieniu hr. Gustawa. Wzrokiem, w którym żarzył się ogień tryumfu, zmierzyła rodzinę proboszcza, zatrzymując się najdłużej na wybladłej twarzy Maryni. Co za przeciwieństwo między temi dwiema kobietami! Jedna jak uosobienie szczęścia, druga jak posąg boleści. Lecz skoro spotkały się ich oczy, skoro w czarne Ernestyny wpiły się niebieskie źrenice Maryni z nieprzepartą potęgą spokoju, siły, woli i rozumu—pierwsza spuściła wzrok swój wielka dama, której krew rzuciła się do gło-

wy, spłomieniła łono, oblała purpurą policzki i czoło...

Tak, był to rumieniec wstydu przed niewinnością.

Ernestyna zmieszana, spiorunowana, szarpnęła ramię brata, który z zajęciem przyglądał się obu siostrzenicom proboszcza i nieskinąwszy głową, podążyła do stojącego tuż u furty pięknego w angielską uprzęż strojnego powozu. Skoro wsiadła, skoro galonowany lokaj zatrzasnął drzwiczki ekwipażu, już odzyskała panowanie nad sobą i rzuciła na odjezdne Maryni jedno długie, szydersko-ironiczne spojrzenie.

* * *

Zgromadzeni na pogrzebie rozsypali się w gromadki; drożyny prowadzące od cmentarza zaludniły się powracającymi. Tu i owdzie w gromadkach toczyła się gawęda, bo ludzie muszą wrażeń i myśli swych sobie wzajemnie udzielić.

— Ale dla czego to, — rzekła organiścina do żony ekonoma ze Słomian, — nie było pana Skalskiego na pogrzebie. Wszak ci mówiono, że pa-

syami nieboszkę miłował, że chciał się z nią żenić. — Czy nie chory?!

— Bogać on tam chory—moja pani.— Widziałam go jeszcze dziś rano zdrowego, — wtrąciła pisarzowa.

— Tak rozpaczał!

— Co to znaczy rozpacz u mężczyzny, nie będzie jedna to będzie druga...

— Dałabyś pani na cmentarzu pokój, — zaprotestowała ekonomowa. — Wiem pewnikiem dla czego Skalski nie był...

— E, wiecie droga pani? — ciekawie wtrąciła pisarzowa, wielka zwolenniczka plotek.

— Wiem, dziś rano u pana Skalskiego w Zaosiu żydzi z komornikiem robili zajęcie...

— A dla Boga! i zajęli?!

— A czby nie mieli zająć, moja pani. Podobno się Skalska śmiertelnie rozchorowała i syn musiał pojechać po doktora, zamiast na pogrzeb swej ukochanej...

— I zabiorą Zaosie?!

— A co niemają zabrać... słyszałam od Szlomy, że tam jakieś papierki trzeba zapłacić...

— Biedna pani Skalska, taka godna kobieta. Dawnoż oni w Zaosiu siedzą...

— I byliby siedzieli spokojnie, gdyby nie te fabryki. Ale młodemu panu chciało się prędkich majątków—ot mają majątek!

— Tak, tak, — syknęła pisarzowa, — ksiądz Hyacynt ze Słomian słusznie mówił: Oj te fabryki, fabryki, tylko na potępienie wiodą dusze ludzkie!...

Stały właśnie w punkcie, gdzie dróżka skręcała do chałupki organisty.

— Bądźcie moje panie zdrowe,—rzekła organiścina,— powiem to memu staremu, niech uwiadomi księdza dobrodzieja o przygodzie Skalskich. Przecież to taka przyjaźń, może proboszcz co poradzi dobrego...

II.

Ojciec Rafael stał przy oknie swojej podziemnej pracowni i poruszał delikatnemi białemi palcami gałkę od szrubki, będącej częścią maleńkiego aparaciku, przymocowanego do futryny.

Zajęciu temu przyglądał się Gwardyan z najżywszym interesem, nie bez odcienia trwogi na pięknej, choć niepomiernie otyłej fizyognomii. Przez szyby nic już nie było widać; ani dalekich gór, ani pobliskich lasów otaczających kapucyński klasztor w Słomianach, ani nawet sąsiedniego brzegu jaru, po dnie którego płynął strumień, przedzierający się z szelestem przez kamienie i gałęzie, suszu strącone jesiennemi wiatrami. Był to ten sam miesiąc wrzesień, w którym Marynia przed czterema laty cichy dom wuja w Lipiu opuściła, aby na szerokim świecie Warszawy

szukać niezależności i majątku, jakiby ułatwił jej małżeństwo z Witoldem Saryuszem.

Zakonnicy jednak nie myśleli o romansowej przygodzie pięknej siostrzenicy proboszcza z Lipia, ale ich uwagę pochłaniała owa śrubka od aparatu przymocowanego do futryny. Ks. Anzelm tylko spoglądał od czasu do czasu w okno, jakby się tam mimo ciemności, spodziewał coś zobaczyć.

— Tak, tak,—mówił O. Rafael—cała trudność doświadczenia polega na tem, iż laseczki węglikowe umieszczone w nimbusie figury, muszą się na początku działania prądu z sobą zetknąć a potem odsunąć od siebie na pewną odległość. Najtrudniej to było urządzić.

— I pokonaliście tę trudność O. Rafaelu?

— Tak—rzekł mnich z wyrazem tryumfu na swej bladej, zmęczonej twarzy—udało mi się szczęśliwie za pomocą oto tej szrubki. Skoro ją nacisnę, łączę elektromagnes z tokiem i wtedy przyciąga on ciężarek poruszający sprężynę, a pałeczki węglikowe zbliżają się do siebie, dotykają i zapalają; gdy puszczę główkę śrubki tok się przerywa, elektromagnes działać przestaje i węglikowe pałeczki rozsuwają się lekko a światło jaśnieć poczyna.

— Rzecz cudowna!

— Te zielone sznury—mówił dalej O. Rafael— kryją w sobie druty przewodnie; przeprowadziłem je przez ramę okna, koło muru, po pniach drzew do podnóża figury. Są doskonale zabezpieczone kauczukiem i mogą leżeć przez parę lat w ziemi. Za pomocą tej wielkiej śrubki, każdej chwili mogę ustanowić związek z bateryą i...

— I... O Rafaelu?!

— Doświadczenie gotowe!

— Jakto, mógłbyś je w tej chwili wykonać.

— Naturalnie, nawet powiem ci ks. gwardyanie, iż po to cię tu wezwałem.

— Dobrze, tylko należałoby zawiadomić braci w klasztorze, gdyż nie wiedząc nic o naszych doświadczeniach, gotowi pomyśleć...

— Że to cud—zaśmiał się O. Rafael.— O bądź spokojny, chyba twoi zakonnicy już wiedzą, że czas cudów przeminął.

— Tak, ale wieśniacy...

— A któżby tam o tej porze do jaru chodził, chyba złodzieje leśni.

Ks. Anzelm spojrzał jakimś dziwnym wzrokiem na uczonego zakonnika.

— No, kiedy tak już chcecie, to niechże będzie

wedle woli waszej; jeśli się uda doświadczenie na figurze, to was poproszę, O. Rafaelu, abyście cały klasztor uiluminowali waszym sposobem.

— Stań tu w oknie księże gwardyanie i patrz!

Zakonnik przycisnął jedną ręką większy a drugą mniejszy guzik od śrubki i w tejże samej chwili promieniste smugi światła niebieskawego i łagodnego trysnęły z metalicznego nimbu, okalającego głowę kamiennej figury wzniesionej na wzgórzu, przeciwległy brzeg jaru stanowiącem. Na ciemnem tle niezupełnie z liści odartego lasu, postać kamienna zarysowała się plastycznie jak gdyby świeciła wewnętrznym blaskiem. Zdawało się, że figura zawisła w powietrzu, gdyż ciemny piedestał gdzieś ginął w mroku. Był to istotnie cudowny, fantastyczny widok, zdolny zachwycić każdego inteligentnego człowieka, przerazić prosty umysł zabobonny.

— Cudownie, cudownie,— szeptał O. Anzelm, patrząc przez szybę ku jarowi,—doprawdy O. Rafaelu, jesteście czarodziejem.

Ale w tej chwili, powietrze przebił krzyk, który się znać daleko wyrwał z dwóch piersi ludzkich, ściśniętych obawą i słabym tylko odgłosem przedarł do wnętrza pracowni.

— Do licha—zawołał, bacznie się przysłuchując O. Rafael—widocznie ktoś w jarze spostrzegł nasze doświadczenia. Trzeba je chyba przerwać na chwilę, aby istotnie nie przerażać zabobonnych ludzi.

I białe swoje palce, któremi przyciskał główki od śrubek, zdjął... Światło nimbusa natychmiast zagasło i dawna ciemność ogarnęła figurę.

Gwardyan otworzył maleńki lufcik i pilnie łowił uchem każdy szelest w okolicy. Ale cisza równa ciemnościom panowała na okół i tylko fale potoku miarowym rytmem szemrały jak zwykle.

— Nie, to nam się musiało przywidzieć... Czy nie słyszysz nic, O. Rafaelu?

— Tak jest słyszę, jakby dychanie dwóch piersi tam po drugiej stronie jaru.

— Szczególna przygoda,— szepnął Gwardyan przez zęby;—rozpal mój ojcze jeszcze raz światło, może nam się uda co zobaczyć.

Zakonnik nacisnął główki od śrubek i znów zajaśniał nimbus figury... i w tejże chwili mignęły dwa cienie i rozległ się tentent w szalonym pędzie o ziemię nóg uciekających...

Zakonnik zaśmiał się cicho.

— Przestraszyliśmy kogoś nie na żarty. Toż

to dopiero będą sobie jutro opowiadać bajki o strachach...

— Tak, tylko trzeba będzie z ambony ogłosić o tych doświadczeniach, żeby z tego co nie wynikło—tłumaczył się ks. Anzelm.

— To już wasza rzecz, moją dziedziną są doświadczenia. Spostrzegam jednak, iż pałeczki węglikowe są za twarde i ztąd światło jest małe i nierówne. Tak, tak, lecz skoro pałeczki te zastąpię węgielkami miększemi, wydobędę światło o wiele mocniejsze.

— Macie słuszność — mruknął Gwardyan nie wiele rozumiejąc o co chodzi i pogrążony we własnych myślach.

— Niezawodnie, i od jutra biorę się na nowo do pracy. Geniusz jest cierpliwością, kochany księże, dobrze już o tem wiedzieli jezuici. Świat należy do cierpliwych. W wynalazkach kto nie probuje cierpliwie, nigdy na właściwą drogę nie trafi.

— Lecz powiedzcie, Ojcze Rafaelu, kto to być mógł?

— Co, wynalazcą tego światła cudownego?!

— Ech nie, kto mógł z przed figury gdyście ją oświetlali uciekać...

— Tego nie wiem, ale za to mogę wam powie-

dzieć na pewno, iż światło zawdzięczamy Volcie i szlachetnemu Davy... Jeden wynalazł źródło siły, drugi podpatrzył zjawisko...

— Tak, byli to znakomici ludzie—lecz i ty, O. Rafaelu, jesteś genialnym mechanikiem, skoro dokonałeś takiej sztuki jak oświetlenie z tej pracowni odległej statui. Wszelako sądząc z dzisiejszego wypadku, proszę was, zaniechajcie na czas jakiś doświadczeń na zewnątrz pracowni. Trzeba być ostrożnym.

— Jak chcecie, księże Gwardyanie.

— Lud jest zabobonny, gotów posądzić klasztor o nieczystą siłę, a w każdym razie będą plotki, które mogą zwrócić uwagę na was, O. Rafaelu, a tego dla was i dla mnie lepiej unikać...

Zakonnik coś poruszył ustami, lecz nie odrzekł ani słowa. Ks. Anzelm mówił dalej:

— Jeśli chcecie mieć tu pobyt cichy i bezpieczny, nie trzeba się ludziom rzucać w oczy. Jutro każę się dowiedzieć kto był pod figurą i sam go objaśnię o przyczynie światła. Skoro zaś O. Rafaelu ulepszycie jeszcze wasz wynalazek, dajcie mi znać...

Zakonnik nic nie mówiąc, poważny i pogrążony sam w sobie, rozśrubowywał aparat, wyjmował

i oglądał druty, zaabsorbowany nowo rodzącym się pomysłem.

Nazajutrz Gwardyan nie potrzebował rozpytywać się, doniesiono mu bowiem o wypadku zaszłym pod figurą. Po rannych pacierzach, kunia głowa O. Hyacynta wsunęła się do parlatoryum przełożonego. Kaznodzieja, rozglądając się na wszystkie strony, czy go kto nie podsłuchuje, szepnął:

— A mówiłem zawsze, że z tym uczonym będzie bieda...

— Cóż tam?

— Wczoraj wieczorem zapalał on znów swe szatańskie światło w nimbie figury.

— Więc cóż z tego?

— E, bo Gwardyan pobłażasz temu przeklętemu...

— Doświadczenia takie nikomu nic nieszkodzą....

— Tak... tak... bogać tam nie szkodzą... Oto wczoraj późno po zachodzie stara Wieczorkowa wnuczkę swą Basię i drugą jeszcze dziewczynę Augustę Szyferkową, córkę komornicy, wysłała po wodę do stoku, który płynie obok figury. Nieraz tam dzieci w dzień i w nocy chodziły, chociaż

więc było ciemno niby oczy wykol, szły śmiało pewne, że je żadna nie spotka przygoda. Skoro zaczerpnęły wodę w wiadro, ujrzały nagle figurę Matki Boskiej całą ogniem gorejącą... Biedne dzieweczki z krzykiem padły na kolana, gdy nagle ogarnęła je ciemność... Dygocząc z przerażenia, drżącemi usty mówiły „Zdrowaś" gdy znowu zajaśniała figura... Wtedy nie czekając dłużej, porzuciwszy wiadra, obie dziewczyny uciekły do babki i przybiegły do domu. Dzisiaj leżą w malignie i bredzą, iż im się Matka Najświętsza objawiła, a cała wieś o niczem innem jeno o tem tylko gada.

Gwardyan zamyślił się głęboko...

— Kto to jest ta Wieczorkowa?

— Staruszka; niegdyś miała grunta z tamtej strony Jaru między Słomianami a Zaosiem, ale po śmierci starszego syna z gruntów się wyzbyła i siedzi z wyrobnicą synową i wnuczką na połowie chaty, której drugą połowę zajmuje Szyferkowa.

— Czy to ta bogobojna Szyferkowa?

— Ta sama.

Ks. Anzelm potarł swe wysokie czoło białą ręką...

— Mój ojcze Hyacyncie, dziwno mi, że jeste-

ście tak małego ducha... A któż wam powiedział, że to nie zrządzeniem Bożem dziewczyny skierowały swe kroki ku figurze wtedy, gdy O. Rafael zapalał światło?!

Zakonnik nieco zdziwiony tym mystycyzmem, zwykle nader chłodnego gwardyana, przyglądał mu się z pod oka.

— Któż was zapewnił, iż nie jest łaską Bożą promień światła, który wniknął w młode proste dusze wieśniaczek, aby zapalić płomienie wiary w grzechach pogrążonym ludzie. Nam O. Hyacyncie nie mędrkować nad tem, ale z tego wypadku raczej skorzystać należy, aby dokonać tego co Pan łaską swoją rozpoczął.

Zakonik skrzyżował ręce na piersiach i nic nie mówiąc, wsłuchiwał się w słowa swego przełożonego...

— Tak, tak,—ciągnął Gwardyan dalej,—jest to właśnie twoim świątobliwego męża obowiązkiem, pochwycić sposobność i w rodzinie Wieczorkowej i Szyferkowej rozdmuchać tlejącą tam z woli Bożej iskrę, z której płomień wiary niech ogarnie całą wieś, wsie sąsiednie, całą okolicę, powiat i powiaty przyległe. Niech lud się pod nasze skrzydła garnie, niech rozgorzeje wiarą na korzyść naszego

klasztoru, naszego zakonu, kościoła świętego... Tak, tak O. Hyacyncie, mówiłem wam, trzeba urządzić misyę! Oto wielki cel, do którego sam Bóg daje nam hasło.

Urządzenie „misyi wewnętrznej" było marzeniem kaznodziei, który lubował się w swej ognistej wymowie, we wpływie, jaki wywierał na słuchaczów, we wrzasku i jękach, jakie wywoływał w zgromadzonych tłumach. Urządzenie misyi najmocniej go zaprzątało i poruszało. Chuda, ascetyczna jego twarz ożywiła się, oczy zapałały, usta poruszać zaczęły.

Ale ks. Anzelm skinął, nakazująo milczenie:

— Tylko O. Hyacyncie nic nagle, nic gwałtownie. Świat jest zły i zepsuty, ludzka wola skażona, a my, kościół nasz, mamy tylu i tak zaciętych nieprzyjaciół. Każdy nasz krok musi być przezorny, ostrożny a godłem: festina lente—Kościół ma czas, spieszyć się niepotrzebuje...

Zakonnik schylał głowę i szeptał przytwierdzając:

— Do waszych rozkazów, do waszych rozkazów!

— Przedewszystkiem, mój ojcze, odwiedzcie Wieczorkową i niezaprzeczająo temu co dziew-

czyny widziały i nateraz nie objaśniając niczego, bo by pewno nie zrozumiały objaśnienia, dowiedzcie się ściśle jaki jest ich stan zdrowia. Jeżeli tam co niebezpiecznego, trzeba będzie postarać się dla chorych o pomoc lekarską. W tym celu poślę do miasteczka po... Kotka...

— Dobrze, ale misya?

— Misyę nim ogłosimy z ambon ludowi, trzeba go wprzód przygotować. W tym celu u trybunału pokuty każę ojcom udzielać objaśnień, świętych nauk co to jest misya, jakie jej przeznaczenie i jak się do niej gotować trzeba. Skoro pobożniejsze kobiety i zacniejsi wieśniacy zrozumieją o co chodzi, skoro się do misyi przygotują, będziemy wtedy mogli wystąpić jawnie z działaniem.

— Jakiż będzie jednak mój w tem udział?

— Możesz O. Hyacyncie rozpocząć swą pasterską pracę od Szyferkowej... możesz jej udzielić nauk o misyi ku nawróceniu grzeszników, ku poprawieniu się z wad i podźwignięciu ułomności dla zbawienia duszy i chwały Maryi Panny, na cześć której właśnie misya odprawioną będzie. Tylko Wieczorkowej nic nie mów, wdowę zawiadomiemy o tem później...

Zakonnik skłonił lekko głowę na znak przyzwolenia.

— Idźcie teraz, ojcze, idźcie, a o tem co w chacie wdowy się dzieje, zawiadomicie mię szczegółowo.

* * *

Ojciec Hyacynt znalazł chałupę Wieczorkowej pełną bab wiejskich, które z zafrasowanemi i zestrachanemi minami to w sieniach, to w izbie radziły o czemś ważnem. W owej izbie na tapczanie zasłanym siennikiem, leżały dwie dziewczyny przykryte grubym kocem. Widocznie były w paroksyzmie febry, której dreszcze od czasu do czasu wstrząsały małemi ich ciałami. Starsza, mogła mieć lat dwanaście, chuda i nędzna o długiej, bladej, śladami ospy zaznaczonej twarzy, miała oczy silnie rozwarte, kołowate, bure. Była to brzydka dziewczyna, powolna w ruchach, posępna i w sobie zawsze zamknięta; jej umysł przytępiony, brak żywości i wesołości w charakterze sprawiał, iż nie lubiono jej w gronach wioskowych rówieśnic. Augusta Szyferkowa, córka komornicy przypominała doskonale swą matkę, ko-

bietę słynącą na okolicę z pobożności, nawet ascetyzmu i praktyk religijnych bardzo rzadkich w chłopskim stanie. Pochodziła też właściwie z miasta i była wdową po cieśli, który osiadł na wsi i spadłszy w pijanym stanie z naprawianego dachu w klasztorze, żonę na wiejską zarobnicę zostawił. Ponieważ mąż poniósł śmierć przy klasztorze, wdowa wyobraziła sobie, iż była to kara Boża, na przebłaganie której i uwolnienie duszy grzesznej z czyszcza, winna poświęcić się modlitwie, postom i umartwieniom. Zakonnicy Słomiańscy wspierali pobożną kobietę, która w ich ogrodzie znajdowała zarobek umiarkowany, między pracę, nabożeństwo i córkę dzieliła czas swego wdowieństwa. Augusta wstępowała w ślady mamatki, pościła z nią razem, razem się modliła i wierzyła w to wszystko co i matka, pełna naiwnej wiary w duchy, cuda i wszystkie na pół religijne na pół zabobonne legendy.

Druga z dziewczynek, Basia, wnuczka Wieczorkowej, była żywem przeciwieństwem swej towarzyszki. Dziesięcioletnia, pyzata, jasnooka, jasnowłosa, wybornie zbudowana i odżywiona, zawsze uśmiechnięta i wesoła, zawsze skacząca jak wiejskie ptasze, mogła być uważaną za jedną z tych

wiejskich dziewuch, typ prosty, szczerej, zdrowej naszej włościanki... Staruszka ogromnie kochała wnuczkę, psuła ją pobłażaniem ku niemałemu zgorszeniu ojca, który za furmana służył w klasztorze. Teraz twarzyczka Basi niepodobna już do zwykłego sobie wyrazu; rozpalona jak miedź gorączką, oczy w słup, przestrach bucha z każdego muskułu, zmiętego i sfałdowanego kurczowo.

U tapczanu siedzi babka siwa, o pomarszczonem obliczu wiejska starucha, a nieopodal przed obrazami sięgającemi aż do pułapu i uwieńczonemi stosem paroletnich palm i wianków, klęcząc modli się Szyferkowa—wdowa. Wiejskie kobiety coś szepczą, coś radzą, a gdy się w izbie ukazał O. Hyacynt, na wszystkich obliczach zapanowało najżywsze zdziwienie i ciekawość.

Zakonnik jednem ruchem ręki dał znak, żeby się baby oddaliły, a gdy izba się wypróżniła, dotykając ramienia ciągle w modlitwie zatopionej Szyferkowej rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków,—odparła niewiasta.

— Wstań i posłuchaj, co ci powiem.

Teraz dopiero Szyferkowa spostrzegła kto do niej mówi; zwolna atoli ukończyła modlitwę, prze-

żegnała się po trzykroć z wielką pobożnością i rzekła:

— Modliłam się do Najświętszej Panienki, któ·ra się mojej córce wczoraj ukazała, aby swą łaskę okazała i mnie biednej grzesznicy...

— Niezbadane są wyroki Opatrzności— odparł O. Hyacynt.—Najświętsza Panienka wie najlepiej kto ma być narzędziem łaski Bożej. Modlić się tylko trzeba moja matko i rozpamiętywać dobro·dziejstwa niebieskie, jakie niejednokrotnie nam nędznym ludziom w widomych znakach Bóg z wy·sokości tronu swego zsyła.

Ksiądz przystanął, obie kobiety pobożnie się przeżegnały.

— Jakżeż tam mają się dzieci?—spytał znowu O. Hyacynt.

— Anieli boscy czuwają nad niemi — odparła Szyferkowa,—są jeszcze w zachwyceniu.

Snać zakonnik niezupełnie podzielał przekona·nie pobożnej niewiasty, podszedł bowiem do tap·czanu i uważnie obejrzał obie dziewczyny.

— Wszystko jest z woli Bożej, ale moja matko kto nie pomaga sobie, temu i Bóg nie dopomoże. Dla tego też, aby rozpoznać dobrze czyli to tylko choroba czy zachwycenie, ksiądz gwardyan przy-

śle tutaj doktora. Sam z nim przyjdę po południu, wy zaś dobre kobiety nic nikomu o wczorajszym wypadku nie mówcie, ale się módlcie i czuwajcie, gdyż niema nic tak lichego, coby się nie mogło stać narzędziem w ręku Stwórcy.

Nazajutrz najętą bryczką zajechał pan doktór Kotek. Był on właściwie tylko felczerem, ale jak wówczas wielu, przywłaszczał sobie tytuł „konsyliarza" ku ogromnemu niezadowoleniu sąsiedniego swego kolegi, rzeczywistego doktora medycyny: Hunda. Między tymi dwoma panami toczyła się nieustanna na wszystkich polach walka, walka na śmierć i życie, w której dr Hund miał legalną przewagę, ale konsyliarz Kotek zabierał wszelkie materyalne korzyści. Dzięki bowiem swej przystępności, wyrozumiałości, łatwości w spełnianiu żądań poleceń a nawet i dzięki pochodzeniu—był wychrztą—i brakowi urzędowego tytułu, cieszył się ogromną klientelą między chłopstwem, niższą klasą oficyalistów, a nawet leczył pacyentów i pacyentki po dworach i pałacach. Po stronie dra Hunda stali żydzi, nienawidzący felczera za zmianę religii i zamożniejsza szlachta o ile swe szacowne zdrowie raczyła powierzać małomiasteczkowemu eskulapowi. Hund kilka-

krotnie skarżył Kotka do sądu, chcąc mu zabro
nić praktyki doktorskiej, na nieszczęście nieła
two było o świadków, o dowody i zręczny felczer
wymykał się zawsze przez obszerne oka prawo
dawczych sieci. W końcu więc dał doktór za wy-
granę i dzięki temu zapanowało zawieszenie bro-
ni, które dowiodło, że często słomiany pokój lep-
szy jest od złotej wojny. Obaj się unikali, poprze-
stając na językowych docinkach i epitetach w obec
chorych.

— A czy tu nie był przypadkiem już ten ene
miarz Kotek?—pytał Hund grubym swym głosem
każdego, kogo rozpoczynał leczyć.

— Nie byłeś ty już bratku przypadkiem u te-
go rzeźnika Hunda?—piszczał zawsze Kotek, roz-
poczynając badanie nowego pacyenta.

Za nic bowiem na świecie obaj „konsyliarze"
nie byliby się podjęli leczyć człowieka, którego
język jeden z nich naprzód oglądał. O konsylium
mowy naturalnie być nie mogło, gdyż każdy
absolutnie przeciwną stawiał dyagnozę.

— Ja bym tego nawet memu psu nie dał—ma-
wiał Kotek, oglądając receptę zapisaną przez dra
Hunda.

— Niech to sobie sam wypije ten mraułkus—

ściągając czarne, krzaczyste brwi, piorunował dr Hund.

Hund był przyjacielem ks. Anzelma, Kotek uniżonym służką pani hrabiny Wysokopolskiej.

Do Basi Wieczorkowej i Augusty Szyferkowej wezwano atoli, na wyraźne żądanie gwardyana, ku niemałemu zdziwieniu i utajonej radości—konsyliarza Kotka. Progi klasztorne były dotąd dla niego nieprzebyte, aż nareszcie po tylu latach, przestąpi on je w tryumfie; ks. Anzelm bowiem, po odwiedzinach u dziewcząt kazał mu się z sobą zobaczyć.

Kiedy doktór odwiedził chałupę obu „świętobliwych wdów", jak je zwano teraz już w klasztorze, zastał Basię przytomną i prawie zdrową. Opowiadała ona, iż razem z Augustą poszły na rozkaz babki do stoku po wodę, jak to prawie codzień czyniły. Było już na dworze dobrze ciemno i deszcz mżył, ale nie bały się niczego bo znały drogę. Nagle Augusta zaczęła krzyczeć: patrz! Baśka, patrz! ogień, ogień! Spojrzy a głowa figury cała w ogniu. Z przestrachu, sama nie myśląc czego, poczęła krzyczeć, gdy w tem wszystko zagasło. Dziewczyny nie wiedziały co mają robić, ogarnął je przestrach, Augusta padła na

kolana i Basia za nią, gdy nagle głowa posągu znowu zajaśniała światłem. Włosy stanęły im dębem, rzuciły konwie i jak szalone pobiegły do domu. Potem Basia już nic nie wie co się stało, gdyż biegła bardzo prędko, trzymając się sukni Augusty. Babka zaś dodała, iż obie dziewczyny przybiegłszy do domu, długo się nie mogły uspokoić, a Augusta bełkotała, iż zobaczyła całkowitą w świetle Najświetszą Panienkę, zawisłą w powietrzu, w niebieskim płaszczu, czerwonej sukni jak na obrazie w kościele, z Dzieciątkiem na ręku. Widziała ją własnemi oczyma dwukrotnie. Wieczorkowa jest pewną, że Auguście się przywidziało, ale Basia powiada, że było światło. W nocy dziewczyny dostały gorączki po długiej febrze i majaczyły ciągle o świetle niebieskiem, kamiennej figurze i Najświętszej Panience... Stara Szyferkowa zaraz powiedziała do swej towarzyszki: dzieci miały objawienie, ukazała się im N. Panna— łaska to Boża, cud, pójdźmy się pomodlić. Jakoż poszły się modlić, ale staruszkę prędko sen zmorzył, a Szyferkowa czuwała odmawiając koronkę, nazajutrz zaś zawiadomiła o tem co zaszło swego spowiednika, O. Hyacynta. Basi nie będzie nic, ale Augusta jeszcze nie przyszła do przytomności.

Był to stan silnego rozdrażnienia, rodzaj nerwowej gorączki, która mogła się przerodzić w zapalenie mózgu.

Doktór Kotek, zanim przystąpił do zbadania chorych, wysłuchał całego tego opowiadania, z natężoną uwagą, nie dająo atoli nic poznać, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Zresztą obecny był ojciec Hiacynt, którego poważna, surowa fizyognomia wstrzymywała wszelkie niewczesne byłego izraelity wynurzenia.

Następnie Kotek w milczeniu zbadał Basię, która nie żartem przestraszona zabierała się do płaczu. Doktór jednak machnął ręką, poważnie wydął usta i rzekł:

— Tej nic nie jest, trocha się przestraszyła dajcie jej lipowego kwiatu to ją uspokoi.

Nad Augustą dłuższy czas strawił; brał ją za puls, dotykał czoła, otwierał powieki i wpatrywał się w słupem stojące oczy, aż w końcu mruknął z cicha.

— Katalepsia.

— Zachwycenie! — przywtórzył O. Hiacynt.

Kotek chciał czemuś przeczyć, ale groźne, surowe oblicze zakonnika, nakazało mu milczenie. Doktór kazał sobie podać chustę, rozdarł ją na

trzy części, zmaczał w zimnej wodzie i obwinął głowę i nogi chorej temi kompresami.

— Trzeba dziewczynę zostawić w spokoju, skoro wróci do przytomności, dajcie znać do klasztoru, gdyż ja teraz muszę się widzieć z ks. gwardyanem.

Ale O. Hiacynt rzekł, zwracając się do Szyferkowej.

— Módl się gorąco, dobra kobieto; niema już teraz wątpliwości, że córka twoja miała widzenie. Łaska to N. Maryi Panny! Skoro dziewczyna wróci do przytomności, obie przyjdźcie do mnie do spowiedzi.

W powrocie do klasztoru trzeba było przechodzić drogą przez wieś. Było to długie, krakowskie sioło, czepiające się po wzgórzach z obu stron doliny. Dawniej na początku leżało obejście karczmiska, obecnie, od czasu jak Szloma wziął propinacyę, zbudowano drugą karczmę, bliżej klasztoru, gdzie też mieszkał żyd, z liczną swoją familią. Chłopi nie mało się głowami nakiwali: po co żydowi druga karczma? — w końcu wreszcie przyzwyczajono się do tego, jak się przyzwyczajają ludzie do wszystkiego, co jest faktem.

Kiedy Kotek przechodził koło tej karczmy, Szloma stał na progu i z uniżonym ukłonem zapraszał doktora do siebie.

— Nie teraz, panie Szloma, nie teraz... — mówił Kotek.

Ale Szloma zaszwargotał coś żargonem i doktór trochę zdziwiony, trochę niepewny, przeprosił zakonnika, iż za chwilę wróci do klasztoru i wszedł z karczmarzem do izby.

Rozmowa trwała pół godziny, lecz czego dotyczyła, pozostało to między rozmawiającymi tajemnicą. Snać jednak interlokutorzy wzajemnie byli z siebie zadowoleni, gdyż Szloma w bardzo niskich ukłonach wyprowadził doktora i grzecznie mu towarzyszył do furty klasztornej. Króciej już trwała audyencya p. Kotka u Gwardyana, lecz i tu wszystko poszło gładko, gdyż na wygolonem okrągłem obliczu cyrulika, jaśniał dobroduszny, w gruncie nieco fałszywy uśmiech zadowolenia.

Nad wieczorem Augusta obudziła się ze swego długiego snu i nie skarżąc się na nic, tylko na ogólne osłabienie, potwierdziła w zupełności to, co mówiła Basia. Atoli pobożna, w legendach przez matkę wychowana dziewczyna, opowiadała swą przygodę jako widzenie, w które całem swem

jestestwem uwierzyła jak najgłębiej. Według niej, skoro światło zajaśniało, ukazała się Matka Bozka z Dzieciątkiem na ręku, w towarzystwie aniołów; ubrana w bieli, włosy jasne, długie, oblicze miała cudownie piękne, a z rąk jej i twarzy rozchodziły się promienie. Widzenie znikło, skoro światło zagasło i ukazało się znowu, skoro światło rozgorzało. Augusta zwlokła się z tapczana, uklękła i odmówiła „Zdrowaś Marya" nagłos, w czem jej towarzyszyła matka i wszyscy obecni.

Tego jeszcze dnia odwiedził ją Kotek, wybadał i oświadczył, iż to był „zachwyt" a nie żadna choroba, iż nic zdrowiu dziewczyny nie groziło złego, tylko że taki zachwyt jeszcze się nie raz ponowi, nie trzeba się więc tem przestraszać, ale zgodzić z wolą przeznaczenia. Bardziej jeszcze uspakajające były słowa O. Hiacynta, którego odwiedziła Augusta wraz z matką nazajutrz. Powiedział on wprost, iż biednej dziewczynie objawiła się Matka Najświętsza i że ten cud jest łaską Bożą nie tylko dla samej Augusty, dla rodziny Szyferkowej—ale i dla całej wsi, która powinna przez pokutę oczyścić się i być godną tak wielkiej jak Pani niebieska współmieszkanki. Jeżeli widzenia Augusty się powtórzą, jeżeli N. Panienka nie przestanie się ukazywać, to Gwar-

dyan zarządzi misyę, która wiele dobrego dla zbawienia dusz przynieść powinna.

Kobiety spowiadały się, komunikowały, modliły się przykładnie, a zapał ten ogarnął Wieczorkową i jej wnuczkę Basię. Kobiety lubo nie bardzo mówne, nieomieszkały udzielić swych wiadomości sąsiadkom, a tak o widzeniu dziewcząt, o tem co powiedział O. Hiacynt, co mówił doktór Kotek szeptała sobie wieś cała.

Tak minął tydzień bez żadnej zmiany. Dopiero w oktawę tego samego dnia, o tej samej godzinie, za rozkazem O. Hiacynta, poszły obie starsze kobiety z obu dziewczynami przed figurę, aby się pomodlić. Dzień był suchy ale chłodny, wiatr szumiał po wierzchołkach drzew zarastającego górę lasu, a ciemno było na dworze. Kobiety klękły u stóp figury i poczęły się modlić. Po jakiejś chwili, Augusta wyciągnęła ręce przed siebie i szepnęła:

— Wejcieć no, wejcie no matulu, co to za jasność na figurze?

— Dziecko ty moje, dziecko ty moje! — zawołała Szyferkowa, co tobie się wydaje, przeć nic nie widać...

— Nie widzita! o! o! Matka Najświętsza...

Ciemność gruba zalegała wszędzie i kobiety zaledwie siebie mogły rozeznać. Augusta klęcza-

ła z rękoma wyciągniętemi, pochylona naprzód, bezwładna, jakby martwa, w tym stanie „zachwytu” w jakim tydzień temu dwa dni przebyła. Niemało sią przeraziły i zdziwiły kobiety, ile że żadna z nich, ani nawet Basia, nic a nic nie widziały. Przeczekały dobrą chwilę, a skoro Augusta nie poruszała się wcale, wzięły ją na ręce i zaniosły do domu. Tym razem dziewczyna obudziła się nazajutrz, bez widocznych oznak słabości, tylko blada i znękana, — opowiadała zaś to samo co i pierwszego razu, że ukazała się jej Matka niebieska, że ją błogosławiła; poczem zstąpił anioł z nieba i widzenie znikło nagle, jak się nagle ukazało. Szyferkowa zawiadomiła o tem O. Hiacynta, który się temu wielce dziwił, ale uznał, iż Augusta ma wielką łaskę u Boga, jakiej naturalnie, starsze a grzeszne osoby nie mają, skoro nic a nic nie widziały... Należy jednak podwoić posty i oddać się modlitwie jeszcze żarliwiej... W tydzień znowu udano się pod figurę, lecz tym razem kobietom towarzyszył O. Hiacynt, oraz doktór Kotek.

Dziewczyny modliły się gorąco i znowu Augusta pierwsza wpadła w zachwycenie. Doktór obecny badał ją ściśle, brał ją za ręce i nadawał im różne położenia, to wyciągnięte poziomo, to pod

niesione, to złożone na krzyż lub do pacierza, a całe ciało dziewczyny niby z wosku, dawało się układać według woli.

Zachwyt dziewczyny trwał niezbyt długo, najwyżej dwie godziny. Obudzona Augusta nic nie wiedziała co się z nią działo, ale opowiadała, iż miała widzenie, tak jak poprzednią razą. O tych widzeniach rozchodziły się najrozmaitsze wieści, tak między chłopstwem, jak i wyższemi klasami, i na następny tydzień zachwytowi Augusty, towarzyszyło kilka kobiet ze Słomian. Widziały one jak doktór Kotek, w towarzystwie ks. Anzelma i O. Hiacynta, probował układania rąk zachwyconej w różne pozycye, jak ją kłół szpilką, tarł jej źrenice—lecz dziewczyna nic nie czuła i obudziwszy się dopiero po godzinie, opowiadała swe widzenie o Matce Bożej. Obecni ani światła, ani nic nie widzieli, ale jakże nie mieli wierzyć w cud tak oczywisty.

Trzeba przyznać, że O. Hiacynt, widząc głębokie zapadnięcia w bezczucie swej penitentki, sam uwierzył w nadprzyrodzoność tego zjawiska. Był to szczery i pobożny asceta, oddany idei kościoła, którego wielkość identyfikował z potęgą wiary i wszechmocą Bożą. Zresztą czyż mu nie powtarzał Kotek, iż Augusta jest zupełnie zdrowa

i wpada w „zachwycenie”. Wiarę O. Hiacynta podzielali inni zakonnicy, podzielali ją wszyscy mieszkańcy Słomian, Lipia i przyległych wiosek, tylko nie dzielił jej gwardyan ks. Anzelm. Z jego to polecenia, przy każdem zachwyceniu obecnym był Dr. Kotek, który badał Augustę z wielką ścisłością, a nieraz z ciężką boleścią i utrapieniem dla doświadczanej.

Wszystkiemu temu przypatrywały się setki ludzi, gdyż co tydzień pod figurą zgromadzała się niemal cała wieś, kobiety i mężczyzni, a obecni, skoro spostrzegli iż Augusta wpada w zachwycenie, rzucali się kornie na kolana, bili w piersi i żałowali za grzechy. O. Hiacynt tym razem kazał Auguście, aby w czasie widzenia zapytała się Matki Bożej czego chce, a skoro dziewczyna przyszła do siebie, wobec świadków opowiadziała całą swą rozmowę z widziadłem. Na zapytanie: czego chce? odparła jej cudowna postać; „odmawiajcie różaniec”, „czy pod figurą?” „Bardzo dobrze” „kto Ona jest?” „Jam jest N. Marya Panna, niepokalanie poczęta” „Jak długo będzie z nami?” „Przez dwa miesiące jeszcze” Poczem nastąpiło przebudzenie się dziewczyny. Od tej chwili wszyscy zgromadzeni odmawiali za każdym razem różaniec, a gdy przychodzono do wy-

razów antyfony: „bądź pozdrowiona Królowo Niebieska" — Augusta wpadała w zachwycenie. Pytała się ona jeszcze swego widziadła „czego żąda?" „wystawcie kaplicę nad figurą" brzmiała odpowiedź. Wszystkie te pytania czynione były z nauki O. Hiacynta, który na żądanie gwardyana, kazał się zapytać, czy widmo nie chce mieć wystawionej kapliczki. Inną razą zapytała się Augusta: „czy zródełko płynące przy figurze ma wodę uzdrawiającą?" ale odpowiedzi nie było, przynajmniej jej Augusta nie mogła sobie przypomnieć. Lecz i bez tej odpowiedzi miejsce poczęło być słynnem. Oto jedna dziewczynka z Lipia przychodząca dość regularnie na nabożeństwa pod figurę, pewnego wieczora wpadła w zachwyt równocześnie z Augustą. I ją także poddano doświadczeniom p. Kotka, który również stwierdził, iż młoda wieśniaczka ulega podobnemu co Augusta zachwyceniu. Co wszystkim zgromadzonym wydało się najszczególniejszem, to ta okoliczność, iż obie dziewczyny równocześnie wpadały w zachwyt i równocześnie się budziły i opowiadały prawie słowo w słowo widzenia. Ażeby się przekonać, że nie było to żadną sztuką szalbierską, przegradzano obie dziewczęta zasłonami, lec jak tylko zgromadzeni głośno wymówili w różańcu

„bądź pozdrowiona Królowo niebieska” dziewczyny ogarniał stan bezwiedny, w którym nie miały żadnej łączności ze światem przyrodzonym jak mawiał O. Hiacynt.

Atoli ks. Anzelm gwardyan klasztorny, nie był tem wszystkiem zadowolony. Wyrażał on tak do braci jak i obcych swoje wątpliwości.

— W rzeczach tak delikatnej natury, a zarazem tak ważnych jak objawienia — mówił on — nie można być dość ostrożnym. Widocznie jest w tem coś, ale co, nieśmiem na pewno utrzymywać. Jeżeli tu działają siły nadprzyrodzone, jeżeli niebo maluczkim i prostym się objawia, to trzeba użyć wszelkich ludzkich środków, dla przekonania się, że nie jest to żadna rzecz przyrodzona.

Jakoż złożył on raport konsystorzowi, a konsystorz wydelegował komisyę z ramienia swego. Pewnego więc wieczora przy końcu listopada, kiedy lud jak zwyczajnie zgromadzony był u figury na modlitwie i obie dziewczyny wpadły w zachwycenie, przybyli z klasztoru komisarze konsystorscy. Było tam dwóch prałatów i doktór Hund. Na widok swego groźnego kolegi zadrżał Kotek, którego także w tym dniu na rozkaz ks. Anzelma sprowadzono. Prałaci, pomodliwszy się,

przystąpili do badania, a O. Hiacynt brał dziewczęta za ręce, nadawał im różne pozy, Kotek zaś kłół je szpilką, szarpał za szyję, wpychał im palce w oczy, a powieki się nie zamykały, tarł palcem ich źrenice, ale to wszystko przechodziło bez najmniejszego drgnienia zachwyconych. Dziwili się prałaci, dziwił lud zebrany.

— Te zjawiska przyrodzone — zakończył Kotek — niechaj mi kto wyjaśni na zasadach fizyologii, a będzie mu nauka nieskończenie wdzięczną!...

Zaledwo umilkł piskliwy głos cyrulika, gdy grubym basem odezwał się dr. Hund:

— Ja ci wyjaśnię, to panie kolego!

Wszystkich oczy zwróciły się na ogromną postać doktora, którego krzaczaste brwi sfałdowały się po nad wielkim nosem. Kotek zadrżał, zdawało mu się, że ten głos zaciekłego antagonisty jest trąbą jeryhońską, od której rozpadnie się w gruzy cały gmach jego mądrych obserwacyj... Nogi ugięły się pod Kotkiem i spojrzał rozpaczliwie na gwardyana, którego tłuste, wspaniałe oblicze, nic więcej nie wyrażało nad ciekawość.

— Źleś, panie kolego, obserwował, źleś stawił dyagnozę i źleś badał — a że tak jest, zaraz ci to pokażę!

I doktór zdjął palto, zakasał rękawy od tużurka, roztworzył przywiezioną z sobą kasetkę z narzędziami chirurgicznemi i kilka z nich, najbardziej potwornych kształtów, ukazał oczom zgromadzonych. Z piersi matek wyrwał się okrzyk trwogi, nawet mężczyzni zadrżeli.

— Ależ kolego! — bąkał Kotek, więcej niż inni strwożony, — przecież tu nie idzie o żadną operacyę...

— Nie, ale o to, aby odkryć szarlataństwo i podstęp, aby prawdzie nauki zapewnić tryumf.

— Doktorze, zapewnisz tylko tryumf prawdzie Bożej — przestrzegł O. Hiacynt.

— Da się to widzieć niebawem — mówił dalej Hund, rozkładając narzędzia, a wybrawszy wielkie cęgi, zbliżył się z niemi do Augusty.

Kotek blady, z oczami błędnemi, chciał mu przeszkodzić, ale ks. Anzelm powstrzymał go w porę.

— Pozwól, konsyliarzu, czynić koledze swemu co zamierza. Jeżeli tu działa nadprzyrodzona siła, Bóg od wybranego naczynia odwróci złe

wszelkie. Kościół chce prawdy i tylko prawdy. Doktorze Hund, rób swoją powinność.

Olbrzymi człowiek porwał dziewczynę cęgami za ramię, tak że aż zsiniało, lecz Augusta ani drgnęła... Hund zdawał się zdziwiony... Kotek odetchnął głęboko.

— To nic — rzekł doktór tubalnie, — atak kataleptyczny bardzo silny, potrafimy jednak dać mu radę. Teraz kolej na inną próbę.

I wziął wielką iglicę.

— Skoro przeszyję rękę tą szpilą, dziewczyna zacznie krzyczeć, daję wam słowo.

I zbliżał się ku Auguście.

Kobiety poczęły płakać głośno, mężczyzni szemrali: dosyć już dosyć, co ma się znęcać ten niedowiarek! ateusz!

Hund nie zważał, silną ręką pakował igłę w obnażone ramię Augusty, lecz zaledwie zagłębił w ciele koniec szpilki, gdy odetchnął z całych piersi, zbladł, zachwiał się i rzucając okrótne narzędzie na ziemię, zawołał.

— Nie, nie, nie mogę dłużej, źle mi jest! — i odszedł szybko, nie zebrawszy nawet swoich narzędzi.

Czyż trzeba było lepszego dowodu działania nadprzyrodzonych mocy?! Teraz już nie tylko

komisarze, ale i ks. Anzelm nie wątpił. Wszyscy padli pobożnie na kolana i dziękowali za widomą łaskę Niebios. Niebawem też obudziły się i dziewczęta, a badane każda z osobna, oświadczyły, iż widziały Matkę Bożą udającą się do Nieba w otoczeniu aniołów. Na ich zapytanie widmo odrzekło, iż nie będzie się już ukazywać więcej aż za rok na ósmego września — a kapliczkę trzeba zbudować wiosną.

Nikogo to nie zdziwiło, gdyż O. Hiacynt dawniej już opowiadał o tem że Matka Boska pewno przestanie się ukazywać i widmo wróci na ósmego września — co i dziewczyny słyszały.

O tem wszystkiem co widziano zdano raport konsystorzowi, a tymczasem komisya udała się do klasztoru na naradę. Kiedy Kotek wchodził w furtę klasztorną, spotkał się z Hundem. Ex-felczer spodziewał się znaleźć doktora jeśli nie na marach, to bardzo chorego; ale olbrzymi konsyliarz szedł krzepkim krokiem, a poznawszy Kotka przystanął.

— Co? — rzekł nachylając się mu do ucha — przestraszyłem jegomości nielada?! Strzeż się, bo drugą razą nie ujdzie ci sztuczka na sucho.

Ale Kotek już zrozumiał wszystko, zaśmiał się swym miałkliwym chichotem i odparł.

— Sługa, pana doktora, sługa, interes już skończony.

Jakoż nazajutrz Augusta i jej współtowarzyszka z Lipia, zostały z polecenia ks. Anzelma wywiezione i oddane do poblizkiego klasztoru zakonnic, gdzie w gronie świętobliwych niewiast, przygotowywać się miały do przyjęcia nowicyatu. Ustały też i zgromadzenia pod figurą, gdyż zresztą z listopadowemi chłodami rozpoczęła się zima, spadły śniegi, mrozy ścięły rzeczki i strumienie, a wieśniak siedząc przy ognisku w swej chałupie śpiewał kolendy, w ciągu długich wieczorów. Podczas tych zgromadzeń kobiety opowiadały sobie legendę o cudzie w Słomianach, o zachwyceniu i o obietnicy Panienki Świętej, iż się ósmego września znowu ukaże. Wieść ta szerzyła się jakby na skrzydłach i skoro wiosna z lodów rozkuła wody, umaiła lasy, łąki i pola, do figury poczęły ciągnąć liczni pątnicy z odległych nawet okolic kraju. Kto im powiedział o widzeniu w Słomianach, kto zachęcał do wędrówki pobożnej, nikt nie wie, nikt nie zgadnie.

Począwszy od wiosny, aż do ósmego września, snuły się pojedyncze gromadki pielgrzymów, wrześniowe święto zgromadzało ich tysiące. Klasztor stał się teraz sławnym w całym kraju, zna-

czenie jego urosło, a co zatem idzie, wzrósł i dobrobyt zakonników. Naprawiono mury, zrestaurowano kościół, wyporządzono klasztorne zabudowania, gdzie mieściły się lokale dla znakomitszych osób, przybywających w pielgrzymstwie. Lecz co więcej, obok figury cudownej teraz, rozpoczęto budowę pięknej kaplicy; trwało to już od dwóch lat, a na przyszły rok, na wrzesień, zapowiadano wspaniałe jej poświęcenie, do której to uroczystości gotował się klasztor bardzo pilnie, gotowało duchowieństwo i rzec można, gotował kraj cały.

III.

Nieszczęścia nigdy nie chodzą same, a ślepy los sprowadza je razem. Ślepy los, a może też i rachuba ludzka, licząc na to, iż ofiara atakowana ze wszech stron naraz, mniejszy stawiać będzie odpór i łatwiej ulegnie... Przynajmniej pan Brobek wywnioskował, iż nieszczęście, które dotknęło zaprzyjaźniony ze Skalskimi dom proboszcza, dostatecznie zamąciło wodę, aby połów ryb udał się z łatwością. Czas też już wielki był skończyć z Zaosiem, jeśli mały folwarczek wdowy miał zaokrąglić przyszłe jego dziedzictwo, za jakie uważał Słomiany. Przecież miał oczywisty dowód na Lipiu, jak wszystkie nawet najściślejsze rachuby są często zawodne. Wprawdzie skupione za bezcen hypoteczne sumy na Lipiu, skutkiem niespodziewanego nabycia tego majątku przez księcia Jerzego Kalitę, przyniosły mu ogromne zyski, wprawdzie na Skalskiej samej zarobił więcej niż sto na sto — lecz cóż to znaczyło w porównaniu tego, czego się jak wła-

snego zbawienia, spodziewał p. Brobek. Przecież on dążył do zagarnięcia Lipia, przecież tyle lat nad tem pracował, tyle trudów poniósł, tyle podstępów osnuł, tyle podłości popełnił. Jako rezultat tej trzydziestoletniej pracy, widział się już dziedzicem Lipia, widział jak ze swoim mólem—molem p. Bróbka była wcale czerstwa dziewucha, córka jego Panna Leokadya—siadał w kolatorskiej ławce swego parafialnego kościoła! Z tego to miejsca jak z piedestalu, można było ofiarować jakiemu prawdziwemu panu pulchną rączkę swej Leosi i dostać się tym sposobem w szeregi obywatelstwa, zamienić stanowisko podrzędne na stanowisko szanowne, wybitne. Brobek nie był uczciwym dorobkiewiczem, co długą pracą rąk swoich, oszczędnością dochodzi do majątku, który jest może śmiesznym, niezgrabnym, ale sympatycznym typem człowieka, przynoszącego warstwie ziemskiej arystokracyi świeży zasób krwi i kości. Nie, Brobek był lichwiarzem, majątek swój mnożył kradzieżą, szachraj stwem, procentami; za pomocą żydowskich ajentów pożyczał na wysokie odsetki, skupywał sumy hypoteczne, handlował zbożem na pniu, licytował i wywłaszczał. Był to wilk, co między stadem niezaradnych zrządzał straszliwe spu-

stoszenie. Ludzie trochę o tem wiedzieli, trochę się tego domyślali, ale że na razie nie jednemu dogodnie z tem było, niechętnie o tem mówiono.

— Co mi tam wdawać się w te sprawy, albo to moja rzecz, albo to ja bocian, żebym świat czyścił. Huncwot ten Brobek, prawda, ale bo to on pierwszy...

I tak pan komisarz prześlizgiwał się nie tylko przez oka sprawiedliwości, bardzo zresztą dla tego rodzaju ryb obszerne, ale i po powierzchni opinii publicznej, która w naszym szlacheckim ogóle, takim ludziom z dołu wielce jest pobłażliwą. Był to także po części wynik pracy p. Brobka, który mocno zabiegał, aby żadna brudna sprawka nie wylazła zbyt widocznie na wierzch, aby żaden głos ofiary nie dostał się do uszu ludzkich. Tkwiło w nim instyktownie staranie o pozory uczciwości, którą się przykrywał jeżeli nie tak zręcznie, to bardzo ostentacyjnie. Jaki to był człowiek pobożny, jaki szczodry dla proboszcza, chociaż nie cierpiał księdza Pawła, a i ksiądz także nie miał nabożeństwa do pana Brobka. Zapewnienia o uczciwości własnej, lały się jak woda z obfitego zdroju, z ust komisarskich, tym więcej, im bardziej czuł, jak małą wzbudzają wiarę.

— Człek się tyra sam, ale zostawi dobre imię dziecku swemu! — mawiał. To „dziecko" a jak pocichu dodawał, ten „mól" była to rozrosła, kwitnąca zdrowiem pannica. Brobek wcześnie owdowiał i gdy Leosia doszła lat ośmiu, pan komisarz oddał ją siostrze nieboszczki żony, wdowie po pisarzu z powiatu, która niewielką emeryturę przejadała w powiatowem miasteczku.

— Trzeba dziewczynę kształcić, rezonował p. Brobek, kontent, iż jaką furką prowiantu, zbędzie obowiązek wychowywania córki, do czego nie miał ani głowy, ani czasu, wśród nawału swych interesów. Pani siostrze przedstawił się jako dobroczyńca, który tylko w szczerej chęci dopomożenia, powierza jej swą córkę i dosyłać będzie prowiant, a na zapłacenie szkoły pieniądze. Bezdzietna wdowa była łaską pana szwagra tak olśniona, tyle o tej łasce zawsze mówiła, iż Leosia wierzyła na prawdę, jako siedząc u ciotki, istotnie wyrządza jej dobrodziejstwo. Tym lepiej przypadało to do gustu pannie Leokadyi, iż natura obdarzyła ją doskonałą dozą kości wielkich i twardych, na których wspierały się muskuły obfite, grube, nerwy jak druciki stalowe, a umysł rozwinięty, szybkiemi napływami krwi obfitej, w namiętne uniesienia przechodzący. W ogóle,

była to przebiegła, złośliwa dziewczyna, namiętnie unosząca się gniewem, nie pojmująca co to jest nie zadowolić swych fizyologicznych potrzeb...

A wszystko u niej przychodziło tak wcześnie. Dzieckiem opychała się małomiasteczkowemi łakociami i biła koleżanki u madamy, do której ją oddano; panienką miała romans ze studencikiem, skandalicznie zakończony bizunami. Wyrosłszy na pannę, tyranizowała ciotkę, katowała służące i zerkała mocno na wszystką młodzież powiatową, jaka nią zawracała sobie głowy. Nie była ładną—ale efektowną, a młodość daje krasę nawet i mniej udatnym tworom swoim. Wreszcie, rzeczy między panną Leokadyą a jednym z aplikantów powiatu, stanęły na tej stopie, iż albo trzeba było ruszyć na ślubny kobierzec, albo pannę wywieść z miasteczka, jeżeli wszystko nie miało się skończyć skandalem. W tym względzie interwencya pana Brobka okazała się konieczną, gdyż ciotka nie miała u Leosi żadnej powagi. Scena zaszła między ojcem a córką bardzo gwałtowna, starły się tu bowiem dwie despotyczne, surowe natury i trzeba przyznać, że zwycięztwo nie byłoby wypadło wcale na stronę pana komisarza, gdyby był on zniżywszy ton pokornie,

nie przekonał córki, iż zrobiłaby głupstwo idąc za aplikanta z powiatu, skoro może wyjść za mąż za dziedzica okolicznej wioski, lub nawet, kto to wie za pana Witolda Saryusza, a może i pana hrabiego Gustawa Wysokopolskiego... Przy tej sposobności przyznał się poraz pierwszy Brobek przed córką, iż niedługo już kupi Lipie, a może nawet i co więcej i wtedy panna Leokadya stanie się posażną panną, o którą poczną się zjeżdżać konkurenci w cztery siwe konie. Praktyczny rozum panny Leokadyi zrozumiał, iż co innego jest konkurent przyjeżdżający w cztery siwe konie, a co innego aplikant z powiatu, z którym zresztą przyjemnie się przepędza szarówkę, podczas gdy ciocia chrapie jak zarznięta. Zresztą dla czegóżby takich szarówek nie miała panna Leokadya przepędzać z konkurentami zajeżdżającemi w cztery siwe konie, a młodych i ładnych chłopców na wsi równie nie brakuje jak w mieście. Zapowiedziała więc ojcu stanowczo, że się zgadza z jego życzeniem, że do Lipia pojedzie, ale długo czekać nie myśli, bo chce wyjść za mąż i być samoistną panią. Wszystko skończyło się na pocałowaniu ojca w rękę i wydaniu rozkazów pakowania rzeczy,przyczem szwagier surową wypalił reprimendę dotychczasowej opiekunce Leosi

za niedozór i spłakanej, a usprawiedliwiającej się kobiecinie, nie zapłacił umówionych wydatków za całe półrocze. Panna Leokadya śmiała się ogromnie z ciotki i twierdziła, że na jej miejscu, wydrapałaby oczy ojcu i nie darowała ani szelążka. Dało to panu Brobkowi poznać, iż zwycięztwo, jakie odniósł nad córką w kwestyi opuszczenia miasta i zerwania z kancelistą, nie na wiele mu się przyda i że córeczka nie da się tak łatwo zjeść w kaszy, jak tuzin obdłużonych szlachciców, których hypoteki siedziały u niego w kieszeni. Przewidywania te ziściły się bardzo szybko i po kilku dniach, panna Leokadya uczuła się tak samowładną panią w komisarskim dworku jak u ciotki w powiatowem miasteczku. Pan komisarz mocno się temu dziwił i przyznał poraz pierwszy w życiu, że ma „móla"—jak zaczął naprzód przed sobą, a potem do zaufanych więcej ludzi, nazywać córeczkę. Otóż mól pana Brobka zapytał stanowczo, jak prędko z komisarskiego lokalu przeniosą się do dworu, bo na ekonomówce ona długo siedzieć nie myśli. I p. Brobek miał gorące chęci ujrzeć się jak najprędzej w pięknych salonach lipskiego pałacyku, ale naznaczona licytacya na Lipie przypadała dopiero za kilka miesięcy. Przez ten czas zażył pan komisarz nieznanych mu

dotąd kłopotów; ulubione jego dziewki, między któremi żył spokojnie jak kogut bez rywala w kurniku, albo zostały wypędzone, albo chodziły z popodbijanemi oczyma przez „móla” w spódnicy. Parobcy w najgwałtowniejszej porze robót, zajeżdżali szkapy z posyłkami do miasta dla panny Leokadyi, a i tych nie mijały bizuny, skoro który się spóźnić ośmielił. Szanowny papa komisarz zeszedł w domu na drugi plan, nie znać go i nie słychać było, a pierwsze miejsce zajął mól, ująwszy w krzepkie ręce ster wewnętrznych i zewnętrznych nawet rządów. Panna Leokadya bowiem w oczy oświadczyła „staremu, iż jest niedołęgą skończonym, a stało się to z powodu nieszczęsnego obrotu licytacyi na Lipie.

Brobek, jako wierny sługa chlebodawcy swego p. Stefana Saryusza, nieomieszkał oświadczyć wszem wobec i każdemu z osobna, iż licytacya na Lipie odbyć się ma na benefis właściciela, pragnącego tym sposobem oczyścić hypotekę z długów i zabezpieczyć się od natarczywości wierzycieli, którzy zresztą nic nie stracą, gdyż prywatnie choć zwolna, będą zaspokojeni. Takie zapewnienia miały na celu usunąć od licytacyi zarówno bogatszą w kapitał szlachtę, która przecież nie będzie przeszkadzała jednemu z braci oczyścić

majątek tak niewinną operacyjką; z drugiej zaś strony uspokoić wierzycieli i nie dopuścić, aby który stanął do licytacyi, co zresztą z tego jeszcze względu przedstawiało trudność, iż byli to posiadacze drobnych sum, bez kapitałów i świadomości interesów.

Takim sposobem p. Brobek, torował sobie drogę do jak najtańszego kupna Lipia, tem więcej, że sumy, które przepaść nie mogły, miał już ponabywane za połowę lub trzecią część, w kieszeni. Szło tu głównie o to, aby pierwszy termin minął bezskutecznie i majątek poszedł na licytacyę od zniżonego szacunku.

Wszystko było dobrze przygotowane i usccenizowane, a pejsaci ajenci p. Brobka pilnowali jak oka w głowie, aby nikt z niepowołanych, nie odważył się stanąć do licytacyi. Jakież atoli było ich zdziwienie a przerażenie p. Brobka, gdy ni ztąd ni zowąd, w naznaczonym terminie licytacyi stawił się adwokat z Warszawy, złożył prawem wymagane wadium i jako jeden jedyny konkurent, wobec oniemiałych faktorów, Lipie dla księcia Kality zakupił. Gdyby wierzyciele mający sumy na tym majątku, mogli przewidzieć taki obrót rzeczy, nigdyby się byli nie pozbywali za połowę ceny swych należności hypotecznych.

Najlepiej tylko wyszli ci, co już byli na szarym końcu i których pan komisarz w swym projekcie poświęcił na rzeź, pragnąc aby ich należytości przy powtórnej licytacyi spadły i z tego powodu sum ich za żadną cenę nabywać nie chciał.

Książe Kalita nie był tak przezorny i ceną licytacyjną objął wszystkie długi, które się też rzeczywiście w wartości Lipia mieściły. Tym sposobem nikt nie mógł narzekać, że na sprzedaży majątku Saryuszów stracił, gdyż nie tylko sumy małoletniej siostry zostały ocalone, a nawet jakiś fundusz, kilkanaście tysięcy rubli wynoszący, dostał się jako resztka schedy obu braciom Stefanowi i Witoldowi Saryuszom.

Taki atoli obrót rzeczy, wywołał wielkie zgorszenie śród okolicznego obywatelstwa: Mało kto zwracał uwagę na prawość, jaką ks. Kalita okazał, płacąc rzeczywistą wartość majątku, czem uratował biednych wierzycieli; ale wszyscy zakonkludowali, iż nie postąpił po obywatelsku, stając do licytacyi, do której w pojęciach szlachty tylko stawać mieli prawo Saryusze lub ... żydzi. Los wierzycieli, którzyby niezawodnie w takim razie spadli, nikogo nie obchodził...

— Tak się nie robi — zakonkludował „poczciwy Józio" między jednem a drugiem ciągnieniem

dyabełka — to przystoi szołdrom i żydom, przeszkadzać szlachcicowi do oczyszczenia ojcowizny ale nie polskiemu panu!

Zgromadzenie karciane potwierdziło bez wyjątku ten sposób widzenia, a nawet pan Sulima Sulimowski, jako prezes komitetu do ratowania fortuny Saryuszów, postanowił dać nareszcie pierwszy znak życia w tej sprawie i sformułować protest, któryby napiętnował mianem hańby nieobywatelski postępek księcia Jerzego Kality. Do tego jednak nie przyszło, gdyż pan Piotr Pietrzykowski z Pietrzykowa, konieczna osoba do podpisania protokułu, zgrabnie umiał się od tego uchylić, a bez jego podpisu, protest nie byłby legalny. Dzięki temu, książe Jerzy Kalita, nigdy się nie dowiedział, co też o jego postępku myślało obywatelstwo, jednego z powiatów krakowskiej ziemicy. Innych następstw dla okolicznego obywatelstwa sprawa ta nie miała, ale za to dała się ona bardzo dotkliwie uczuć p. Brobkowi. I on z resztą obywatelstwa krakowskiego, również podzielał przekonanie o niecności postępku ks. Kality, ale skutki tego postępku spadły nań w sposób nader nieoczekiwany. Kiedy wieczorem w dniu licytacyi nieszczęśliwy komisarz wyspowiadał się ze swych utrapień córeczce mólowi,

duża pannica na myśl, iż nie będzie mieszkała we dworze, wpadła w straszny i niepohamowany gniew, którego paroksyzm nie wiadomo jakby się zakończył, gdyby Brobek natychmiast nie opuścił ekonomówki. Że tam parę dziewek chodziło nazajutrz z podbitemi oczyma, nikogo to ani trochę nie zastanowiło w Lipiu. Uspokoiwszy się nieco, panna Leokadya oświadczyła ojcu kategorycznie, iż w tej „przeklętej dziurze" jaką jest ekonomówka w Lipiu dłużej pozostawać nie myśli i jeżeli pan komisarz nie nabędzie majątku, gdzieby mogła być panią i przyjmować z okolicznej szlachty, konkurentów, to ona przeniesie się znowu do miasteczka, zamieszka u ciotki i wyjdzie za pierwszego lepszego aplikanta z powiatu, gdyż nie na to jest panną komisarzówną, aby skisła na ustroniu i doczekała się staropanieństwa.

Pan Brobek uznawał racyę swego móla, tem więcej, iż z powodu nabycia majątku przez księcia Kalitę, tracił racyę pobytu w Lipiu. Służby nowej już szukać nie potrzebował i nie chciał, a oddalić się z tych stron nie mógł, oczekiwać bowiem było trzeba aż wybije godzina dla sąsiednich Słomian, których połowę wierzytelności posiadał już w swoim ręku. Zresztą i propinacya w Słomianach, trzymana do współki ze Szlomą,

a rentująca się z powodu licznych kompanij do cudownego źródła Matki Boskiej, wymagała jego bytności w tych okolicach.

Brobek przeto postanowił przystąpić nareszcie do wywłaszczenia Skalskich z Zaosia, które leżąc na granicy Lipia i Słomian, zaokrąglało oba majątki. Nie była to godna Brobka siedziba, ale na tymczasowy niezależny pobyt, stanowisko wcale przyzwoite. Zresztą, nigdy Zaosie nie było ponętniejszym kąskiem jak w tej chwili. Skalski kilka lat ubiegłych użył wybornie dla swej fabryki, która z embrionu istotnie przeobraziła się do niepoznania, w zakład kompletny i ożywiony. Po obu stronach lamusika wznosiły się już skrzydła a w nich piece kopulowe i warsztaty; machina parowa z wysokim kominem, sapała ciężko oddychając kłębami dymu i przywodząc całą fabrykę w wir i ruch nader energiczny. Liczba zatrudnionych rąk wzrosła w trójnasób, a produkcya tutejszego zakładu, znajdowała zbyt w odległych nawet okolicach kraju. Mimo to wszystko, dawny robak podgryzał podstawy przedsiębiorstwa Julka: a robakiem tym były owe długi pierwotnie zaciągnięte na danie impulsu fabryce. Wprawdzie pierwotne weksle dawno już zostały wykupione, ale wykupione wydaniem nowych

weksli i to na sumę daleko od pierwotnej znaczniejszą. Julek mniej się atoli o te weksle dziś troszczył, gdyż rozliczał na pożyczkę bankową, zaciągnąć się mającej na zakład prezentujący się tak świetnie, z drugiej zaś strony, spodziewał się iż oczekiwana sprzedaż Lipia, uwolni sumę lokowaną ongi na tych dobrach i pozwoli mu pokryć znaczną część swych długów, na obosieczny kredyt osobisty zaciągniętych, ale poręczonych hypoteką Zaosia. Nie przeląkł się więc Julek, gdy żydzi zawsze występujący w charakterze właścicieli weksłów, a podstawieni tylko przez Brobka, odmówili dalszej prolongaty i zwrócili się z protestami na drogę sądową. Wszakże Lipie już zostało sprzedane i wierzyciele odbierali sumy lokowane na tych dobrach, nic więc nie przeszkadzało teraz, podnieść schedę matczyną i wykupić weksle. Julek kilkakrotnie wszczynał z matką rozmowę o tym ważnym dla siebie przedmiocie, ale pani Skalska za każdym razem zakłopotana i pomieszana, zbywała go albo monosylabami, albo milczeniem, którego sobie syn wytłomaczyć żadną miarą nie umiał. Lubo między nim a matką nie było żadnych tajemnic, wszelako Julek, jak to się często zdarza u ludzi kochających i czułych z natury, w wielu razach, aby nie martwić dro-

— Bo widzisz, chciałam ci oszczędzić kłopotu...

— Kłopotu... a zgubiłaś mię, moja matko!...

— Jakto?!

— Weksle muszą być zapłacone—a ponieważ nie mam na to pieniędzy ani ewikcyi, więc trzeba ogłosić bankructwo... zamkną fabrykę... sprzedadzą Zacsie...

Nie dokończył, gdyż biedna kobieta padła z głośnem charczeniem na ziemię. Wzruszenie wywołało apoplektyczny atak. Szczęściem, Julek jako człowiek praktyczny, zapoznany nieco z medycyną i ratowaniem w nagłych wypadkach, czego się nauczył jako dyrektor fabryki, zrozumiał natychmiast niebezpieczeństwo i wydobywszy ostry scyzoryk, upuścił krwi zemdlonej matce. Na krzyk jego zbiegła się też i żeńska służba, nad wyraz przywiązana do pani i przywróconą do zmysłów Skalską, przeniesiono na łóżko do alkierzyka, gdzie wdowa sypiała zwykle. Łzami żalu i przeproszeń Julek oblewał ręce i nogi swej rodzicielki i błagał o przebaczenie.

— Nie ty mnie proś o odpuszczenie — ale ja ciebie błagać o nie muszę, cicho szeptała kobieta.

Gdy się nieco uspokoiła, Julek, odrętwiały niemal z bólu, wrócił do kancelaryi i oznajmił komornikowi, aby robił zajęcie, on zaś musi jechać po doktora Hunda, gdyż matka skutkiem wstrząśnienia moralnego, padła od apoplektycznego ataku.

I komornik jest człowiekiem, i w urzędniku jest serce; stary ten człowiek, który znał rodzinę Skalskich, zapewnił młodego fabrykanta, iż ma czas do popołudnia, że formy i formalności zabiorą godzin kilka, a on niech ratuje matkę, niech jedzie po doktora, jak tego obowiązek i głos serca wymaga.

* *
*

Słońce się miało ku zachodowi i formalności spisania aktu, na mocy którego miano ogłosić bankructwo fabryki w Zaosiu, zostały dokonane. Brakowało jeszcze tylko odczytania tego dokumentu głównie interesowanemu właścicielowi i podpisu komornika, który ile mógł zwłóczył, aby zostawić Skalskiemu czas do ratowania matki. Doktór Hund był istotnie zdolnym praktykiem, zbadawszy chorą oświadczył, iż natychmiastowe niebezpieczeństwo minęło, ale nieszczęśliwa kobieta wymaga bezwzględnego spokoju, gdyż

nowe wzruszenie, sprowadzić może atak śmiertelny.

Julęk wyszedł z doktorem na dziedziniec, kiedy od strony Lipia, w całym pędzie nadjechała bryczka. Był to stary wasąg proboszcza, a w wasągu siedział ksiądz Paweł i dwie jego synowice. Czerwona, poczciwa, puklami srebrnych włosów okolona twarz kapłana, wyrażała pełną rezygnacyi czułość, budzącą sympatyę i otuchę. Julek jakkolwiek zawstydzony, obecnością komornika i aresztami na majątku — brak pieniędzy w cywilizowanem społeczeństwie zawsze się poczytuje za zbrodnię—był jednak nader wdzięczny księdzu za jego odwiedziny w chwili nieszczęścia. Rachował na wpływ kapłańskiego słowa, któremu pobożna pani Skalska łatwo i chętnie się poddawała.

— Mój Julku, rzekł ksiądz, przyjechaliśmy tu z pomocą, zaprowadź nas naprzód do matki, chciałbym z nią parę słów pomówić....

Hund siedzący już na bryczce, przerwał grubym głosem:

—Tylko mości proboszczu, ostrożnie tam z szafunkiem duchownych specyfików, bo kobieta potrzebuje raczej spokoju niż wzruszenia...

Ksiądz się nie obraził, dobrotliwy uśmiech przemknął po jego ustach.

— Dobrze, dobrze, mój doktorze, dziękuję za radę i będę się do niej stosował. Nie przyjdzie mi to z wielką trudnością, tym bowiem razem mam do spełnienia poselstwo dobrej wieści....

— Żadnych wzruszeń, żadnych wzruszeń, mruczał doktór.

Na progu domu oczekiwał Julka — komornik. Z uszanowaniem skłonił się proboszczowi, który mu życzliwie podał rękę jako dowód, iż mimo twardego zajęcia urzędnika, szanował jego poczciwość i rzetelność.

—Już czas, panie komorniku, już czas? uprzedził zapytaniem Julek.

— Czas, gdyż dzień się kończy, grzecznie i nie bez troski, zapewnił urzędnik.

— Idźcież więc państwo do mateczki — a ja tu tylko drobną formalność załatwię. Staraj się księże proboszczu pocieszyć biedaczkę.

— Bądź spokojny, niezawodnie ją pocieszę.

Julek wziął pod rękę komornika i odeszli ku zabudowaniom fabrycznym. Młody człowiek tak był swem potrójnem nieszczęściem przygnieciony, że nie poczuł ani pewności w głosie księdza, ani nie spostrzegł, iż tylko proboszcz wszedł do ma-

tki, a dwie jego siostrzenice, zachowujące się dotąd milcząco, w pewnem oddaleniu szły krok w krok za komornikiem ku fabrycznym zabudowaniom.

— Więc nie masz pan żadnych środków ratunku, mówił urzędnik do Julka.

— Niestety panie, w tej chwili żadnych, jeden jedyny, na który liczyłem pewno, w ostatniej chwili mię zawiódł.

— Cóż to był za środek?

— Suma matki, pięć tysięcy rubli, ulokowana na Lipiu.

Komornik spojrzał na młodego człowieka wielkiemi oczami.

— Ależ przecie tę sumę podniósł już faktor Brobka, który ją nabył od pańskiej matki... wszyscy żydzi o tem wiedzieli...

— Niestety, ja nie wiedziałem! Ale teraz wszystko rozumiem... poczciwa matka sprzedała sumę w tajemnicy przedemną, aby zapłacić pierwsze me weksle.... nie odgadłem zkąd wzięła pieniędzy.... licząc zaś lekkomyślnie na tę należność, wystawiłem nowe zobowiązania i padam ich ofiarą...

Komornik potarł czoło.

— Padasz pan ofiarą Brobka, który widząc, że

pierwsze weksle zostały wykupione, nabył obecne pretensye... To majster...

— Czegoż chce?

— Zaosia....

— Ach!

— I pan istotnie nie znajdujesz żadnych środków odroczenia katastrofy?

— Powtarzam żadnych.

— To źle, bardzo źle, gdyż Brobek będzie nieubłagany. Zaosie stracone.

— Nietylko Zaosie, ale to co było dumą moją, pracą moją i przyszłością—fabryka. Jeszcze rok, a fabryka moja zaczęłaby przynosić znaczne zyski. Zamknięta upadnie, a z nią nietylko źródło mego majątku, ale i dobrobytu biednej ludności. Co się stanie z memi robotnikami, skoro pozba wieni zostaną pracy?

Głos Julka tętniał serdecznemi łzami. Młody człowiek atoli opamiętał się zaraz.

—Trudno! Każda pomyłka pociąga za sobą su rową karę, gdym podpisywał ostatnie weksle, na leżało mi się dobrze upewnić co do sumy, na której opierałem moje nadzieje. Służę panu, jestem gotowy podpisać protokół mego ... nieszczęścia.

Przed fabryką stała gromadka ludzi. Byli to

robotnicy fabryczni, młodzież sama, a na ich czele podmajstrzy Jacek. Osmoleni od dymu i kopciu, z twardemi zakasanemi rękoma, mieli miny zafrasowane. Byli niemal wszyscy wychowańcami Julka, wyuczeni i przysposobieni przez niego z synów okolicznych włościan. Większość pochodziła z Lipia, znajdowali się jednak i ludzie ze Słomian. Niektórzy mieli już żony, które z małemi dziećmi na rękach przyszły dowiedziawszy się, że fabryka ma być zamknięta. Nie brakło też matek, ojców i krewnych, zarówno interesem jak ciekawością pociągniętych.

Julek tego zgromadzenia właśnie się nie spodziewał, a raczej zupełnie o niem zapomniał, zajęty własnemi bólami i własnem swem nieszczęściem. Widząc ich tu razem, ścisnęło mu się serce na myśl, iż wszyscy zostaną bez chleba. Lecz czyż był temu winien, czyż nie tracił sam najwięcej, wszystko, czyż on właściwie nie jest godzien największego współczucia. Zdawało mu się, że zasmucone twarze jego robotników, których sam wykształcił, którym tyle najlepszych chwil w życiu poświęcił, że te poczciwe twarze wyrażają dlań żywą boleść, prawdziwem tchną współczuciem. — Zbliżył się do nich rozrzewniony — ale oni milczeli.

— Spotkało nas, moi współtowarzysze, nieszczęście—przemówił głosem wzruszonym, fabryka musi byó na ozas jakiś zamkniętą, — a w każdym razie my się rozstaniemy z sobą.

Milczenie panowało głuche, nie odezwał się ani jeden wyraz żalu za rozłączeniem. Po ciężkiej pauzie dopiero, odezwał się jeden ze starszych robotników.

—Bo to, wielmożny panie, ludzie nie wiedzą co będzie z ich zarobkiem.

— Każdemu co mu się należy, ze swoich prywatnych pieniędzy wypłacę jutro, skoro pokończymy rachunki.

Tłum się jakoś przyjaźniej poruszył, bo mu spadła troska o przepadek natychmiastowego zarobku. Lecz tego było jeszcze za mało.

— A proszę wielmożnego pana — wystąpił jakiś chłop stary, cóż ja zrobię ze swoim Antkiem co się nauczył ślusarki, kiej go podzieję—do miąsta go nie wezmą, a we wsi bez sposobności jest...

— Mój dobry Mateuszu, cóż ja ci w tej chwili pomogę, przecież widzisz że sam wszystko tracę.

— Dobrze to tam panu, zawdy coś zostanie i nic złego nie będzie, ale mój chłopak gdzie się obróci.

—A też i mój Jędrek, niby to kowal, a majster ze Słomian powiedzieli, żeby go nigdy a nigdy

do siebie nie przyjął, bo to nic nie umie, a harde kiej fabryczny wycirucb.

— Trzeba poczekać.... mówił zakłopotany Julek, czując że na swoje sumienie wziął garść ludu i zawiódł go, dopuściwszy zamknięcia fabryki.

— Poczekać, patrzcie no kumo, a jak ja swego nie chciała dać do fabryki, to wielmożny pan krzyczał, że odpycham dobry los dla swego dziecka.

Zebranych ogarniało jakieś rozdrażnienie, któ re zaczęło się udzielać Julkowi. —Wszakże prócz swoich korzyści miał on na celu dobro tych ludzi, pomyślność okolicy, wszakże się o to gorliwie starał, podnosił ile tylko mógł zarobki, troskli wie czuwał nad niemi. Teraz przy pierwszem nie powodzeniu spotykają go zarzuty z ich strony, świadczące o wygórowanym egoizmie, o niewdzię czności niemal. — To go oburzało do głębi serca, odsuwało od tych, dla których dotąd tyle uczuwał sympatyi i tyle świadczył dobrego.

Tymczasem tłum się burzył, każdy gestykulował do swego sąsiada, gadał, żalił, swoje rzeczywiste i mniemane krzywdy wywnętrzał. Obie strony odsuwały się od punktu wyjścia, jaką była wspólna klęska, zrywały się wzajemne nici mię dzy nimi, jakie ich dotąd w patryarchalnych sto-

sunkach wiązały. — Lada chwila mógł tu wybuchnąć spór między przewodnikiem a jego dawnymi podwładnymi. Doświadczeńszy w takich wypadkach komornik, kilku donośnemi słowami kazał się rozejść zebranym i jutro pojedynczo stawić do porachunku.

— Szkoda słów tracić z tymi chłopami, rzekł do Julka, do jutra sami zmiarkują, że nie mają żadnej racyi.

Zgnębiony inżynier wszedł za urzędnikiem do kancelaryi fabrycznej. Tu czekali już zwykli świadkowie do podpisania gotowego aktu zajęcia — lecz ku niemałemu wszystkich zdziwieniu, znalazły się tu także między niemi dwie siostrzenice proboszcza z Lipia. — Julek nie mógł pojąć co mogło skłonić te dobre istoty do urągania mu w tak trudnej chwili jego życia.—Drażniła go i upokarzała w miłości własnej ich obecność. Spojrzał na pół rozżalony, na pół gniewny na blade twarze obu siostr. Zosi jego, którą tak kochał nad życie. Natalka z wypieczonemi na policzkach suchotniczemi rumieńcami, była uderzająco do zmarłej siostry podobną, tylko w jej zmęczonych rysach przekwitało gasnące życie kobiety. Natomiast Marynia marmurowo blada, surowo poważna, w swej niezrównanej piękności budziła podziw i zachwyt.

Każdy na pierwszy rzut oka czuł nieugiętą energię i wolę niezłomną tego cudownego jestestwa.

Julek od rana doznał tylu wrażeń i wzruszeń, iż nowe upokorzenie jakiem go obie siostry nabawiały, wyczerpało siły nawet tej męzkiej natury. Niemal upadł na krzesło, zakrył twarz rękami a przez palce pociekły mu łzy....

Ktoś jego ramienia dotknął lekko, delikatną rączką. Była to Natalka, a w jej oczach błyszczało tyle rzewnej litości, grzało takie współczucie, iż młody człowiek, drobną jej rączkę poniósł do ust i szepnął:

— Za wiele cierpiałem, przebaczcie, wszystkie nadzieje naraz rozbite, zniszczona praca życia, zerwany z nad biednej, siwej głowy mojej matki dach rodzinny.... to łzy moje wyciska.

— Uspokój się, panie Julianie, szepnęła Natalka — nic wam teraz nie grozi.... nasz anioł opiekuńczy przychodzi z pomocą.

— Z pomocą?!

— Tak, odezwała się wreszcie Marynia, z pomocą, której pan nie odmówisz, bo ci jej odmówić nie wolno, ze względu na matkę, ze względu na tych ludzi co tam pod fabryką słusznie szemrali, ze względu na twą ideję, której poślubiłeś życie.

— Nie rozumiem.

— Posłuchaj pan. Dziś poczciwa ekonomowa z Zaosia doniosła wujowi o zejściu komornika i zamknięciu fabryki. Na szczęście, środki moje pozwalają mi wdać się w tę sprawę. Panie komorniku, ja wykupuję weksle pana Juliana przedstawione do spłaty. I mówiąc to jak osoba wprawna w interesa, przejrzała papiery i maleńką, elegancką teczkę, wyjęła z niej w biletach bankowych odnośną kwotę.

— Oto jest pokrycie pańskich weksli.

Urzędnik spojrzał zdziwiony.

— Pani darujesz, że nie mam pewności, czy pan Skalski pożyczkę przyjmie.

— Słusznie, ale skoro pan Skalski milczeniem słowa moje potwierdza, pańska wątpliwość ustaje.

— Niezawodnie.

— Tylko nie ustaje moja powinność, gorączkowo zawołał Julian, tylko że ja na to nigdy nie mogę dozwolić....

— Powiedziałam już, że na przyjęcie odemnie pomocy dozwolić musisz — spojrz na ten niski dworek, gdzie leży chora matka, cobyś zrobił, coby się z nią stało, gdyby komornik był zniewolony ją wyrzucić. Bądź spokojny, ksiądz Paweł już jej powiedział, iż nie ma się czego lękać. On

jej zdjął ciężar, który biedną staruszkę tak długo cisnął ku ziemi, aż ją na łoże boleści powalił.

— Jakaś ty pani dobra—szepnął Julek.

— A czy myślisz, drogi panie, że równie jak względem matki nie jesteś zobowiązany względem twych robotników.

— Niewdzięczni.... rozranili mi serce, zniechęcili do siebie...

— Niesłusznie wyrzekasz, oni mieli racyę. Tyś panie stanął na ich czele, powołałeś ich do życia, do nowej pracy i opuszczasz w pół drogi. Czyż nie ich to ręce, nie ich ramiona i plecy wznosiły te gmachy. Słowa ich nieświadome, przemawiał przez nie atoli instynkt zdrowy. Wierzaj mi i ja jestem robotnicą i ja stoję na czele zakładu zatrudniającego siły ludzkie, rozmyślałam nad temi stosunkami, i nauczyłam się czuć odpowiedzialność nietylko za siebie ale i za ich przyszłość, za ich powodzenie i pomyślność.

—Tembardziej nie mogę przyjąć twej, pani, pomocy, ponieważ twój kapitał jest dla twego zakładu potrzebnym.

— Nie, przeciwnie, składając go w pańskie ręce robię tylko dobry interes. Mój magazyn w tej chwili nie wymaga tak znacznego kapitału, byłoby nawet nierozwagą powiększać produkcyę,

skoro chwilowy zastój nie sprzyja temu. Kapitał więc mój próżnuje na lichym bankowym procencie, kiedy ty zapłacisz mi zwykły odsetek wekslowy trzy razy tyle wynoszący.

— Bezpieczeństwo....

— Co, Zaosie i fabryka nie stanowią bezpieczeństwa? Sam mówiłeś, że za rok fabryka stanie o własnej sile i zyski przynosić będzie. Zapewniam pana, że mi te sumy nie prędko potrzebne będą.

We drzwiach małego dworku ukazał się ks. Paweł i wielką swą kraciastą chustką machał niecierpliwie.

— Pójdźmy, rzekła tkliwie Natalka, wuj nas wzywa i pociągnęła młodego człowieka za sobą, gdy Marynia jeszcze dawała rozporządzenia komornikowi z tą pewnością człowieka obeznanego z biegiem interesów.

Ksiądz Paweł drżącego Julka wprowadził do alkierzyka. Stara kobieta na pół wsparta o poduszki wyciągała ręce do syna. Twarz jej była spokojna, uśmiechnięta, oczy łzami wilgotne.

— Moje dziecię, moje drogie dziecię — uspokójmy się, minęło niebezpieczeństwo.... Ale nie ludzie tę sprawę rozwiązali, tylko anielskie serca...

jeden anioł od nas uleciał, a drugi tu zstąpił. Wskazała na Marynię.

— Tak matko moja, anioł pracy, hartu i poświęcenia.

— Nie panie Julianie, tylko kobieta, której dobrze skierowana praca i zabiegliwość pozwoliły stanąć na równi z waszą działalnością....

* * *

Gdy poczciwy komornik ucieszony takim obrotem rzeczy powracał ze swymi świadkami z Zaosia przez Lipie, zastąpił mu drogę Brobek.

— A cóż, zapytał, żydzi zrobili zajęcie u pana Skalskiego?

— Nie panie komisarzu, odparł komornik.

— Czemuż?

— Bo dłużnik weksle zapłacił.

Rozszerzyły się źrenice maleńkich ocząt pana Brobka.

— Nie żartuj, komorniku, przemówił drżącym głosem.

— Nie żartuję, oto suma pokrywająca wartość weksli, w walucie kurs w kraju mającej.

— Co, zapłacona przez Skalskiego?!

— Nie, przez pannę Maryannę Kościelecką, posiadającą duże kapitały, jak to dowiodła doku-

mentami. Spisawszy więc protokół, przyjąłem walutę.

— Więc z zamknięcia fabryki i licytacyi Zasia nic....

— A nic, z uśmiechem złośliwości szepnął komornik.

Co się stało tego wieczora na Ekonomówce — nikt nie wiedział dobrze, ale to pewna, że pan komisarz całą noc błądził po okolicy, a ulubiona jego dziewka miała oczy podbite dwoma piąstkami „móla". Panna komisarzówna bowiem nazajutrz wyjechała do miasteczka do ciotki, zapowiedziawszy ojcu, że nie wróci na wieś dopóty, dopóki ta wieś nie będzie jej własną.

IV.

Na znanym nam tarasie Słomiańskiego pałacu, bujała się Ernestyna, zawisnąwszy w hamaku. Nigdy sieć nie obejmowała swemi sploty piękniejszej i bujniejszej kobiety. Wycięty szlafroczek z materyi mieniącej się w stalowe odcienia, nie zakrywał prześlicznie utoczonych piersi, ramion i karczku o tak nieposzlakowanej linii jak gdyby wzorowany był z greckiej rzeźby. Wyciągnęła rączki i położyła na nich swą głowę, w zwoje kruczych warkoczy jak w turban uwitą. Nóżki obute w pantofelki, czerwoną wyszywane pelą, tonęły w falach koronek, jakiemi modnisia przystroiła spódniczki i inne wewnętrzne części swego stroju. Wiatr przy każdem poruszeniu hamaku, figlarnie unosił ten puszysty obłok gazy i koronek—ukazywała się wtedy łydka pełna, foremna i doskonale objęta w jedwabne pończoszki.

Widok ten oddziaływał drażniąco na ks. Anzelma, który korpulentną swą figurę, z trudnością

mieścił na wązkiej ogrodowej ławce, dość twardej aby dała, nawet jego pulchnym, kształtom uczuć całą swą niewygodę. Czy tej okoliczności, czy też ciekawości, z jaką starał się skorzystać z widoków niedyskretnie odsłanianych przez wiatr, igrający z nóżkami Ernestyny, przypisać trzeba było, iż ks. Anzelm kręcił się ciągle i wyciągał swą krótką szyję naprzód, a piękne jego oczy, płonęły tym niespokojnym ogniem, jaskrawo odbijającym od burego habitu. Przed tą niezwykłą grupą, z rękami opartemi o laskę, stał Brobek. Pospolita, czerwona twarz pana komisarza promieniała wyrazem dobrodusznego zadowolenia i tylko w małych siwych oczkach migotały błyski, właściwe drapieżnym zwierzętom.

— Siadaj Pan, siadaj, kochany komisarzu — przemówiła Ernestyna nieco szyderczym tonem — tylko nie przy ks. Anzelmie, bo się obydwa nie pomieścicie.

— Słusznie, pani hrabino, niechcę też przeszkadzać ks. gwardyanowi...

— Przynieś pan sobie krzesło z pokoju.

Gdy Brobek się oddalił, Ernestyna zniżonym głosem spytała.

— Czego on chciał od matki?

— Przedstawił hrabinie stan interesów i niemożność dostarczenia żądanych pieniędzy.

— I to wszystko?

— Nie... pożyczki znaczniejszej już niepodobna na Słomiany uzyskać, ale można parę folwarków odprzedać...

— Więc?

— Proponował tę operacyę jako jedynie mogącą dać pieniądze — tem więcej, że jest kupiec.

— Któż taki?

— Karczmarz Szloma.

— Matka się zgadza?

— Cóż ma innego do zrobienia; trzeba atoli było pozyskać Gustawa i Brobek udał się do niego, a ja tu przyszedłem aby zawiadomić panią.

— Dziękuję...

— Jestem zawsze posłuszny i wierny...

— Zaraz to zobaczymy...

— Co jeszcze?!

— Porozmawiamy o interesie bardzo dla ciebie gwardyanie przyjemnym...

— Tyleś razy mi to pani obiecywała.

— A czekajże cierpliwie! Nasza przyjaźń czyż okazała się dla ciebie lub klasztoru bezpożyteczną.

— Tego nie twierdzę, lecz...

— Cicho, Brobek idzie.

Pan komisarz ustawił sobie krzesło tak, iż mógł dokładnie obserwować twarze mówiących. Dawało mu to jeszcze widok na piękne ramiona Ernestyny, ale ta korzyść pozycyi dla naszego kapitalisty, podrzędną miała wagę.

Ernestyna pierwsza zaczęła.

— Jesteśmy tu przyjaciele? wszak prawda?

— Niewątpliwie!

— Niezawodnie!

— A więc panie Brobek, muszę powiedzieć, iż jako przyjaciołka twoja, zostałam bardzo niemile dotkniętą, zawiedzeniem nadziei twych co do kupna Zaosia.

— Moich nadziei? — zapytał Brobek, chytrze roztwierająo oczy i mrużąc je czemprędzej.

— Otóż widzisz jaki z ciebie przyjaciel! Zamiast się zwierzyć mnie i gwardyanowi otwarcie, zamiast wezwać nas do pomocy, pan, mości komisarzu, posługujesz się żydami i już po raz drugi przegrywasz sprawę.

— Przegrywam sprawę? — nie pojmuję pani hrabiny!

Istotnie Brobek dotąd nic nie rozumiał, a twarz jego mieniła się zakłopotaniem i nieufnością.

— Nieszczerość pozbawia cię pomocnych rąk, panie Brobek — powiadam ci to wyraźnie... Rozmówmy się otwarcie. Ja nie jestem ani mamą, ani Guciem... przed niemi możesz sobie grać komedyę, ze mną lepiej wyjdziesz na szczerości... Gwardyan ściśle należy do nas...

Ks. Anzelm skłonił piękną swą głowę...

— Nic a nic nie rozumiem, pani hrabino!

— Ty, panie Brobek, jesteś człowiek bogaty i masz pieniądze — my Wysokopolscy, jesteśmy zrujnowani i nie mamy pieniędzy.

— Ja mam pani hrabino pieniądze...

— Cicho bądź, nie zapieraj się. Powiedz mu, Gwardyanie, wiele ma majątku.

— Licząc spółkę ze Szlomą, sumy nabyte na Słomianach, gotówkę ulokowaną w papierach i pożyczki hipoteczne, razem czterykroć sto tysięcy rubli.

Brobek pobladł o ile na to przyrodzona czerwoność jego skóry dozwalała.

— Widzisz więc, że nieźle jesteśmy powiadomieni — rzekła Ernestyna, rzucając się w hamaku tak silnie, iż z pod koronek ukazało się jej kolanko. Skoroby było potrzeba, moglibyśmy ci mości komisarzu, wymienić hipoteki gdzieś lokował swe oszczędności, sumy któreś nabył na Słomianach, numera twych kredytowych papierów...

— Och! — otarł Brobek swe spocone czoło.

— Ale nie lękaj się, panie Brobek. Gdybyś był tylko biednym ekonomem, to czyż ks. Gwardyan, czy ja, Saryuszowa z Wysokopolskich, nazywalibyśmy cię przyjacielem...

— Zawsze byłem pokornym sługą i chcę nim pozostać.

— Nie, chcemy mieć z pana przyjaciela i pomocnika...

Brobek rece skrzyżował.

— Kapitalista, który ma około półmiliona rubli, jest czemś innem, niż prosty ekonom... Ty panie Brobek, wiesz to równie dobrze jak i my, ty również masz ambicyę — ale źle się bierzesz do rzeczy!

— Źle?!

— Tak, bez pomocy przyjaciół, nie dojdziesz do celu. Ja wiem, panie Brobek, że chciałeś kupić Lipie, które ten szaleniec Kalita sprzątnął ci z przed nosa... Wiem nawet, iż Lipie miało być wianem twej córki, której rękę przeznaczyłeś Witoldowi Saryuszowi...

— Pani hrabino... to się tak żartowało...

— Ależ ja to pochwalam, ja ci daję dłoń moją, że z ks. Gwardyanem będziemy całemi około tego siłami pracować.

— Lipie przepadło! — westchnął Brobek.

— No tak, ale przecież obetrzesz łzy swoje kilkoma folwarkami z wilkowskiego klucza.

Mina Brobka była rozpaczliwą. Czuł iż ta kobieta podbija go i czyni swym niewolnikiem.

— Ja się na interesach nie znam, wiem jednak tyle, że skoro Słomiany są obdłużone tak, że nie można dostać pożyczki, lepiej aby przeszły na własność teścia brata mego męża, niż w obce ręce... jeśli nie w całości to częściowo...

— Pan Saryusz nie zechce mojej córki — przemówił Brobek, zaczynając nareszcie pojmować o co chodzi.

— Kto to wie, mój p. Brobek, przynajmniej ja sobie tego gorąco życzę, a mój mąż i ks. Gwardyan użyją wszystkich wpływów, aby ten mariaż doprowadzić do skutku.

— Ja co mam uczynić za to? — spytał Brobek krótko.

— Na teraz nic, kochany panie. Jak zaś jestem dla ciebie usposobioną, powiem ci wiadomość — źle mówię, dwie wiadomości, które cię winny mocno ucieszyć.

— Słucham, pani hrabino!

— Naprzód do Lipia, w charakterze zarządcy, na rozkaz ks. Kality, zjeżdża Witold Saryusz...

— I zgodził się administrować dawnym majątkiem.

— Zgodził, on bez przesądów. Powtóre, zapraszam pańskiego „mola” chciałam powiedzieć pańską córkę do siebie.

— Hrabino, to prosta dziewczyna.

— Właśnie, parę miesięcy pobytu pod moim sterem wytresuje ją tak, że będzie godną na żonę dla brata mego męża...

— Ona taka gwałtowna...

— Wiem, wiem, już my ją tu utemperujemy. Ty panie Brobek ze swym męzkim rozumem nie dasz jej rady, ale ja kobieta pewno sobie poradzę...

— Ileż wdzięczności...

— Zostaw ją na później. Teraz zaś jest tu jeszcze jedna sprawa. Z Kalitą niełatwą była walka, to bogacz, który dla fantazyi zdolny jest wyrzucić setki tysięcy. Ale żeś się dał potyrać takiemu Skalskiemu... to mnie dziwi.

— Nie spodziewałem się, żeby ta mała jędza z proboszczówki, wmieszała się w moje sprawy — syknął Brobek.

— Szkoda, Zaosie kąsek łakomy. Czy ten Skalski tak mocno stoi na nogach, że już mu teraz nikt nie poradzi.

Nóżki Ernestyny fikały bardzo figlarnie, wiatr dął jakiś silniejszy i ks. Gwardyan okazywał mocne zainteresowanie tą akcyą.

Brobek obracał swój słomiany kapelusz w rękach

— Zawsze on nie swojemi pieniędzmi sześć tysięcy rubli zapłacił. Gdyby tak jakie nieszczęście w Zaosiu, pożar, zniszczenie fabryki, stagnacya długa, toby i Kościeleckiej pieniądze przepadły i Zaosie znów na licytacyę poszło.

— Nicby w tem nie było złego — przemówił Gwardyan — fabryka prowadzona przez tego półgłówka Skalskiego, jest istotną zakałą dla okolicy. Jest to gniazdo bezbożności i materyalizmu, źródło zarazy dla pobożnego ludu.

— Dodaj księże Gwardyanie, iż zabiera wam wodę i corok staje się powodem wylewu na wasze łąki.

— Skalski, źle się wyraża o klasztorze, a z przekąsem mówił o cudzie; robotnikom swoim zabrania chodzić do karczmy Słomiańskiej, urządził dla nich sklep i co niedziela mają własne zabawy gimnastyczne.

— Wszelako nie kupił tem swoich robotników — zaśmiał się Brobek — w czasie licytacyi

między Skalskim a pracującymi, przyszło do rozterki i odtąd niema już dawnej serdeczności.

— Na twojem miejscu, panie Brobek, jabym z tego skorzystał i dał przynajmniej dobrą nauczkę temu młokosowi zarozumiałemu, który uwolniwszy się od długu, głowę do góry podniesie.

— Ks. Gwardyan mógłby także poruszyć swoje wpływy, aby tego śmiałka ukrócić — zauważył Brobek.

— Naturalnie, że zrobię co w mojej powinności leży — przyświadczył zakonnik, wpatrując się w ruch zgrabnej nóżki.

— Głównie byłoby pożądanem, aby ta mała Kościelecka swoje pieniądze straciła. Witold się w niej kiedyś kochał, ale z gołą pewno się nie ożeni, kiedy nie ożenił poprzednio. W interesie więc mariażu twej córki z Saryuszem, trzeba się postarać koniecznie, aby ta nieproszona dobrodziejka doszła do nędzy. Ja tego chcę przedewszystkiem i panowie, jako moi przyjaciele, powinniście się o to postarać.

— Zrobi się... co będzie można—rzekł Brobek ponuro.

— Pod tym warunkiem córka pańska będzie Saryuszową, a tobie ks. Gwardyanie — tu do-

tknęła końcem nóżki kolana zakonnika — tobie ubędzie przeciwnik klasztoru.

— Miłosierdzie Boże jest niepokonane, — westchnął ks. Anzelm — i nie pozwoli aby przez jedną fabryczkę kościół poniósł szkodę.

— Myślę że się teraz klasztorowi nieźle dzieje — rzuciła Ernestyna. Gwardyan pogardliwie wydął usta.

— Blichtry to, hrabino, blichtry. Świat teraz straszliwie zmateryalizowany, sumienia twarde, egoizm opancerzył serca.

— No i kieszenie — mruknął Brobek.

— Cudowi nikt nie przeczy, ale cuda już wrażenia na nikim nie robią, jeszcze został nam tylko lud, ale jest on zbyt ubogi aby mimo wielkiej masy, skutecznie się mógł do rozwoju klasztoru przyczynić.

— Zawszeć teraz lepiej niż było.

— Niezaprzeczenie mamy środek działania, jest powód agitacyi, brakuje nam tylko ludzi...

— Masz racyę Gwardyanie, nie macie dość inteligentnych i eleganckich zakonników, którzyby sprostali zadaniu wśród wyższych klas społecznych. Taki ks. Hiacynt dobry do przestraszenia prostaczków piekłem, ale tam gdzieby

szło o pozyskanie wpływu na wyższe towarzystwo, jest za ordynarny...

— Wiem to sam dobrze, hrabino, ale mam już gotowe pod tym względem narzędzie. Piszą mi z Francyi, że Juliusz skończył seminaryum i prześcignął najśmielsze nadzieje. Jest to prześliczny młodzieniec, ułożony wybornie, dystyngowany i rozumny. Idzie tylko o skłonienie go, aby wstąpił do naszego zakonu i do naszego klasztoru.

— Musicie go ks. Gwardyanie strzedz dobrze od ks. Pawła, bo mu pewno w głowie przewróci.

— Tak, ks. Skoryna bardzo poczciwy człowiek, ale sługa kościoła z niego nie tęgi.

— Źleby było, gdyby tacy wszyscy księża byli.

— Nie trwóżcie się, już ja Juliusza wezmę w swe pazurki.

— Właśnie cię hrabino chciałem prosić o protekcyę dla tego młodego człowieka. Przybędzie tu za kilkanaście dni i mógłby przepaść, gdyby nie znalazł odpowiedniego towarzystwa, jakiego mu właśnie potrzeba...

— Już ja się o to postaram, żeby ta młoda płonka wyrosła na podporę waszego klasztoru. Tylko nawzajem Gwardyanie, trzeba teraz działać energicznie przeciw fabryce.

— Pacta zawarte i ratyfikowane — rzekł zakonnik z uśmiechem, podając pulchną rączkę młodej kobiecie.

Zbliżył się lokaj, prosząc ks. Anzelma i Brobka do pani hrabiny Wysokopolskiej.

— Idźcie, panowie, idźcie, — rzekła Ernestyna — i przyślijcie mi tutaj Gustawa.

Gdy za portyerą drzwi salonowych znikli, młoda kobieta zerwała się z hamaku, stanęła na ziemi obu nóżkami i poprawiła fałdy umyślnie, w wyrafinowanej kokieteryi potarganego stroju. Przeszła się w zamyśleniu po tarasie, a brew jej w miarę przesuwających się przez tę piękną główkę myśli, to zbiegała w liczne i groźne marszczki, to rozmarszczała w regularny łuk, a uśmiech jak tęcza pokoju, wieszał się na ustach.

Dumanie przerwał młody hrabia. Siostrze dość było spojrzeć na twarz brata, żeby zrozumieć o co chodzi. Gustaw był wściekły. Pospolite choć ładne jego oblicze, oszpecił wyraz bezsilnego gniewu i uczynił go tak komicznem, iż Ernestyna parsknęła śmiechem, co tylko mocniej rozgniewało hrabiego.

— Doprawdy nie pojmuję cię, śmiejesz się z mojego gniewu, nie wiedząc co go spowodowuje.

— Wiem, braciszku...

— Wiesz?

— Wiem, nie masz pieniędzy i nie chcą ci ich dać...

— No tak!

— A ty pieniędzy koniecznie potrzebujesz, bo widok Natalki podrażnił cię i chciałbyś wrócić z nią do stosunków dawniejszych, co bez pieniędzy jest naturalnie niemożliwem.

— Mylisz się, wcale mi Natalka nie w głowie.

— Więc znów Marynia, chcesz jeszcze probować — i owszem i owszem, ja ci siostrzane daję błogosławieństwo.

— Dajże pokój szyderstwom. Właśnie mi teraz czas myśleć o utrzymankach, kiedy niedługo będę zmuszony pomyśleć, jak się samemu umieścić na utrzymaniu. Tu idzie o rzeczy poważniejsze.

— Gustawie, ty i poważne rzeczy... ha... ha... doprawdy umrę ze śmiechu.

I Ernestyna zanosiła się, wybuchając ruladami chichotu.

Gustaw porwał ją za obie ręce i przytrzymując rzekł:

— Posłuchaj raz, bo tu o nas wszystkich idzie. Brobek, jako nasz doradca, oświadczył stanowczo, że dalsze obciążanie majątków długami, jest

niemożliwe, że procenta w dwójnasób pochłania ją dochody i dla uratowania sytuacyi przez czas jakiś potrzeba wyprzedać folwarki należące do klucza Wilkowskiego.

— Więc cóż?

— Ależ moja droga, to jest początek katastrofy... i cóż się z nami wszystkiemi stanie?

Ernestyna uśmiechnęła się złośliwie.

— Powiedz co się z tobą stanie, bo ja mam męża.

— Niedołęgę, który nie umiał ocalić własnej grzędy. Dlaczegoś ty poszła za tego Saryusza, ja dotąd nie rozumiem.

— Jak wielu rzeczy. Więc ci powiem: żeby być panią Saryuszową. Dla ciebie to nic, dla mnie ma to znaczenie. Zresztą był to konieczny warunek naszej egzystencyi: trzy lata nie żyłbyś spokojnie i dostatnio, bo Szloma i Brobek nie daliby pieniędzy.

Gustaw spuścił głowę.

— Uspokój się i teraz — mówiła dalej Ernestyna — już ja czuwam nad tem, aby się nam zbytnia nie stała krzywda. Mam swój plan.

— Masz ty plan finansowy, ty coś się nigdy nie chciała do interesów mieszać.

— Mam i chciałam o nim z tobą pomówić, bo w planie tym masz swoją rolę.

— Ja?!

— Ty i to dość niepośledni. Musisz mi tylko przyrzec posłuszeństwo, nie żądając, abym ci każdego mego rozkazu tłumaczyła przyczyny... posłuszeństwo musi być ślepe.

— Ale coś, coś chociaż muszę wiedzieć.

— Naturalnie; powiem ci nawet cały mój plan, ale nie badaj przyczyn i dróg, któremi zmuszoną jestem chodzić.

Ernestyna siadła na ławeczce i z kolei wzięła brata za obie ręce.

— Posłuchaj! — rzekła — my arystokracya, jesteśmy do pewnego stopnia pasożytną naleciałością... aby żyć i żyć tak jak nam się należy, musimy zawsze coś lub kogoś wyzyskiwać. Słomiany ze wszystkiemi kluczami i nomenklaturami—są jak wiesz tak obdłużone, iż prawie nie są naszą własnością. Ty mógłbyś się ożenić z jaką żydówką i podzłocić mienie, ale do skutecznego przeprowadzenia tego interesu, trzeba żebyś nie był całkiem pozbawiony pozycyi...

— Może.

— Otóż trzeba, aby Słomiany przynajmniej pozornie i jaknajdłużej utrzymywały się w naszych

rękach. W tym celu trzeba mieć kapitalistę, któryby rozwiązywał worka, ile razy tego potrzeba i gospodarza, któryby tak podniósł majątki, aby mogły opłacić procenta dotąd, dopóki posag za twoją żydówką, nie pozwoli oczyścić hypoteki. Zrozumiałeś?

— Nie wiele.

— Takim kapitalistą jest Brobek. Klucz Wilkowski nikt nie kupi tylko faktor Brobka — dla niego.

— A to łaska!...

— Naturalnie, bo Brobek ma córkę pannę Leokadyę, która odziedziczy po nim cały — wcale piękny — w papierach, kapitałach i sumach hypotecznych, wraz z kluczem Wilkowskim, majątek.

— No ale cóż to nas obchodzi. Przecież się z panną Leokadyą nie ożenię, bo to dla mnie za mało.

— Za mało by może i nie było, zaręczam ci że Brobka szacują na dwa do trzech milionów złotych, ale ja ci wcale panny Leokadyi nie stręczę, chociaż zaprosiłam ją na stałe do Słomian. Ty szukaj sobie partyi gdzieindziej, dla Leokadyi mam wygodniejszego dla nas męża.

— Kogóż, nie dręcz mię i mów prędzej.

— Witolda Saryusza.

— Toż z ciebie opiekunka! Zawsze masz do niego skłonność.

— A tak — zaśmiała się Ernestyna szyderczo — zrozum tylko o co chodzi. Witold jest dobrym gospodarzem, bo sam o tem ks. Kalita szeroko rozpowiada. Wołyński jego majątek tak dobrze urządził, iż z pustki w cztery lata, zrobił złote jabłko, dające piękne intraty. Oceniając to, Kalita przysyła do Lipia Witolda na administratora. Trzeba jednak będzie dać młodemu Saryuszowi do zrozumienia, iż musi iż powinien dla brata poświęcić się i ożenić z Leokadyą, objąć zarząd Wilkowszczyzny i Słomian i tym sposobem uratować brata i nas.

— A Marynia.

— Jak wiesz, z nią Witold zerwał... i nikt ci nie przeszkadza, abyś ten przedział utrwalił wiecznie i związek tej czułej pary nigdy się nie mógł odnowić.

— A to wszystko siostrzyczko. robisz dla mnie, jedynie dla mnie, nieprawdaż?

Ernestyna się roześmiała.

— Tego właśnie nie badaj. Dlaczego robię nie kłopocz się... a skoro ci z tem wygodnie,

słuchaj moich rozkazów. Oto jest trzy tysiące rubli — jedź do Warszawy, baw się i staraj odnowić stosunek z Marynią, a Witoldowi kładź do głowy potrzebę poświęcenia się dla brata przez małżeństwo z Brobkówną. Na teraz nic więcej!

V.

Stefan Saryusz, w lekkiej białej marynarce doskonale uwydatniającej jego piękne kształty, w pół leżąc na szeslongu, przepatrywał karty, tylko co z poczty przyniesionego rękopisu. Było to kilkanaście drobno zapisanych stroniczek listowego papieru, rodzaj pamiętnika, który mu nadesłał Witold. Oto parę ustępów z tego pisma.

„Drogi Stefciu! Tak przywykłem, kreśląc codziennie od lat paru obraz moich myśli i czynności dla osoby, która się niestety, niegodną okazała moich zwierzeń—iż nie mogę sobie dać rady, abym tem co powierzam białej karcie papieru, nie podzielił się z tobą braciszku. Jest to tem potrzebniejsze, że musimy się znowu poznawać wzajemnie, dziwaczne bowiem losy, co nas odrzuciły, teraz znów zbliżają do siebie.

I ktoby to drogi mój pomyślał, że ja znowu wracam do Lipia, pracować na starym ojców moich zagonie. Tylko jaka zmiana roli... Dobry nasz

Ojciec przeznaczał mię do odbudowania zachwianej pomyślności majątkowej, do zagospodarowania Lipia i utrzymania tego majątku w naszych rękach rodzinnych. Niestety, było to już spóźnionem i bez kapitału i kredytu, samą li pracą i umiejętnością, niepodobna uratować majątku, mającego terminowe zobowiązania. Sprawę tę zbadałem bardzo sumiennie i dla tego też, zamiast ciebie i siebie łudzić, wolałem odrazu przeciąć węzeł gordyjski i wyjaśniwszy stanowisko, jąć się pracy zarobnej, aby tym sposobem zapewnić sobie widoki na przyszłość. Wiesz jakie miałem obowiązki i zamiary i zaiste nie jestem winien, jeśli tak haniebnie oszukany, moich przyrzeczeń nie dotrzymałem i zamiarów nie ziściłem. Wszelako nie umarłem ani moralnie, ani fizycznie. Ogłuszony straszliwem odkryciem, oburzony cynizmem kobiety, która mi bezczelnie, własnoustnie swą hańbę w twarz rzuciła — nie złamałem się dzięki temu realnemu wychowaniu, jakie ku zgorszeniu was wszystkich, odebrałem. Zawiedziony w mych najidealniejszych aspiracyach, nie uczułem się bankrutem zupełnym, gdyż miałem pogląd na całość obowiązków życia i wiedziałem, że mam poza obrębem mojego osobistego szczęścia, liczne jeszcze do spełnienia powin-

ności. Cios był atoli za silny, aby pozostał bez śladu. Borykałem się straszliwie z porywającą mię fizyczną i moralną chorobą i dzięki sile woli, pokonałem obie. Dziwiliście się i mieliście za złe, żem was wonczas tak nagle opuścił. Gdybym był jednak został, gdybym był dłużej oddychał tem zatrutem powietrzem Warszawy, byłbym niezawodnie uległ i albo długą chorobą, albo pomieszaniem zmysłów zapłacił... Ruch podróży, samotność, praca za przybyciem do mej wołyńskiej pustelni, oddziałały na mnie zbawczo. Długa refleksya przekonała, że spotkało mię nieszczęście, które spotkać musiało, że sam byłem winien, dozwalając młodej, pięknej kobiecie bez majątku i środków, puszczać się na wzburzone nurty wielkiego miasta. Zamiast zaufać swym siłom i dostawszy miejsce, zaraz założyć ognisko domowe, zgodziłem się na eksperimenta i miasto strzedz swego skarbu — ograniczyłem się na spisywaniu dlań swego pamiętnika. Kara za takie głupstwo musiała mię dosięgnąć, a że kara jest straszliwą, któż temu jeśli nie ja winien?! Z tysiąca bojowników, którzy wychodzą na walkę z życiem, zbrojni w zasoby i siłę — iluż zostaje zwycięzcami, czystych i nieskalanych?! Czyliż to co się usprawiedliwia w mężczyznie, nie ma

być usprawiedliwieniem dla kobiety?! Nie mam też prawa rzucać na nią słów potępienia, chociaż zraniła mię tak boleśnie".

Stefan przerwał czytanie szeptem.

— Kocha ją jeszcze! choć się tego wypiera nawet przed sobą. Nie usprawiedliwiamy tych, których nienawidzimy, a nawet którzy nam są obojętni.

Czytał dalej.

„Parę miesięcy chodziłem jak automat, atoli siła woli przemogła, a regularna praca dała inny bieg moim myślom. Pierwotnym moim celem było możliwie szybkie zebranie takiego kapitału, ażeby mając go w ręku, można było rzucić się na jakąś dzierżawę. Należy przyznać, iż pod tym względem służba u ks. Kality zaliczoną być może do najszczęśliwszych wypadków. Osobiście nigdy nie lubiłem tego dziwaka, ale im lepiej go poznaję — tym więcej muszę go podziwiać. Zewnętrzna skóra u tego człowieka jest twarda, chropowata i niemiła, tak jak u słodkich owoców podzwrotnikowych, ale dusza oświecona rozumem, szlachetna i sympatyczna. Kalita widocznie uwziął się na mnie, aby mię zewnętrznemi odepchnąć formami. Sposób w jaki mi ofiarował miejsce, do żywego zadrasnął moją miłość wła-

sną. Wtedy zaledwiem się mógł powstrzymać, aby mu nie rzucić w twarz sarkazmu i nie wyjść z pokoju. Później myśląc o tem, winszowałem sobie, żem tak nie zrobił, gdyż koniec końców, zadrapane zostały tylko we mnie resztki owej szlachetczyzny, którą zapewne odziedziczamy we krwi i której się nie łatwo pozbyć. Ludzka godność została nienaruszoną i jak się potem przekonałem, mimo całej ekscentryczności, nigdy nią nie poniewiera książę. Za to ma mój szacunek, chociaż nie godzę się w wielu razach na jego poglądy i na sposób, w jaki je objawia. Opowiadałem ci już dawniej, jak postąpił książe gdym mu odesłał czysty dochód z zarządzanego przezemnie majątku. Pieniądze otrzymałem retro, z rozkazem abym je użył na ulepszenia, jakie uznam za stosowne. Odpisałem mu, że to jest niepotrzebne, że majątek sam się już stopniowo ameliorować będzie, że robienie zbytecznych wkładów, niedoprowadziłoby w obecnych stosunkach do niczego i byłoby jedynie pańskim tylko wybrykiem. Wyznaję, iż podobny przytyk zrobiłem umyślnie, aby mu zapłacić choć w części za szyderstwa, jakie przyjmując mię, miotał przeciwko fantazyi szlacheckiej. Książe się atoli nie obraził, w suchym liście przyznał mi nawet że mam racyę,

pieniądze więc zatrzymuje, ale ja odtąd oprócz pensyi, pobierać będę 20 % od czystego zysku. Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, uważałem to za fakt nader naturalny. Jużci, gdyby nie moja praca i trafny pogląd, zyskuby z tych majątków nie miał. Sprawiło mi to tem większą przyjemność, że książe kazał wszystkich oficyalistów i służbę w zarządzanym przezemnie kluczu, do udziału w tantiemie przypuścić. Rok bieżący dał dobre tego systematu rezultaty i ja jako owoc czteroletniej pracy, posiadam już blizko dziesięć tysięcy rubli kapitału. W innych okolicznościach byłbym albo wziął dzierżawę, albo tutaj założył ognisko rodzinne, lecz teraz zostanę tu ażeby posiadany fundusz powiększyć i aby nam obu służył na dni starości".

„Tak przynajmniej myślałem do dnia wczorajszego. Dzień wczorajszy mogę uważać za nowy a niespodziewany zwrot w mem życiu. Przed kilku dniami odebrałem telegraficzne wezwanie abym przyjechał do Warszawy i zobaczył się z księciem. Po czterech latach było to pierwsze osobiste moje zetknięcie się z tym człowiekiem. Złe jakoś miałem przeczucie, tem gorsze, żeś mię uprzedził o kupnie Lipia przez księcia. Zapatrywań twoich nie podzielałem co do tego interesu.

Wszystko rozważywszy, jestem zdania, iż stało się najlepiej, jak tylko stać mogło. Plan Brobka był albo niegodziwym podstępem, albo fikcyą; w pierwszym razie zaciążyłby na naszym honorze, w drugim uwikłałby nas w położeniu bez wyjścia. Najprawdopodobniej zaś Lipie kupiłby jakiś geszefciarz, korzystając z zagmatwanego położenia. Książe dał dobrą i słuszną za ten majątek cenę, skutkiem czego, żadna suma nie spadła, uratowaną została suma Zosi, a nam jeszcze okroiło się po dziesięć tysięcy rubli. O czemś lepszem trudno i marzyć nawet. Posiadając teraz dwadzieścia tysięcy rubli kapitału, daleko śmielej patrzę w przyszłość niż gdym był nominalnym dziedzicem Lipia. Mimo to rozumowe przeświadczenie, doznawałem nieprzyjemnego uczucia na myśl, iż książę jest posiadaczem naszego niegdyś zakątka. Dziwna nielogiczność! Może też byłem zły i o to, żem mu sam to kupno naraił, rozpowiadając zaraz za pierwszem widzeniem o Lipiu. Bądź jak bądź, ze ściśniętem sercem stanąłem przed księciem. Nie odmienił się w ciągu tego czasu ani na jotę, tylko mu lekko zaczęła czarna siwieć broda. W ciemnej swej kurtce, z długiemi rękoma, zdawał się jak olbrzymie dziecko, spojrzawszy bowiem w jego piwne

głębokie oczy, wyczytałem w nich prostotę i dobroć... Poznał mię odrazu.

— Saryusze — mruknął, nie odrywając się od piłki, którą wycinał jakieś cacko — Saryusze stara, karmazynowa szlachta, ale pan musiałeś się chyba od swej rodziny odrodzić...

Niemile mię to dotknęło.

— W jakiem znaczeniu to mości książe bierzesz?

— A, szlachta nie lubi pracować, pan cztery lata pracowałeś jak murzyn, szlachta lubi stan ziemiański, ale niecierpi potrzebnej rolnikowi nauki, szlachta istnieje zawsze przez wyzyskiwanie czegoś lub kogoś, pan istniałeś przez swoją głowę i ręce, szlachta nie myśli nigdy o jutrze, żyje i działa bez planu na przyszłość, podobnie jak ludzie ras pierwotnych, pan założyłeś sobie i przeprowadziłeś plan — to dużo, to nie po szlachecku, panie Saryuszu.

Mimo komplementu, czułem się jednak dotkniętym tem lekceważeniem, bądź co bądź potężnej warstwy narodu.

— Książę, widzę, jest wielkim przeciwnikiem szlachty... stara to w Polsce magnacka tradycya— Kalita się uśmiechnął.

— Przeciwnikiem nie, ja tylko konstatuję fa-

kta, śpiewam nad zmarłym litanię, a że wyrazy niełądne, któż temu winien?

— Więc książę uważa szlachtę za umarłą.

— Ależ tak, tak mój panie morituri. Szlachectwo, jako idea niema już u nas pod sobą nawet tyle gruntu, aby umrzeć porządnie. Politycznie szlachta stać może tylko przy królu, społecznie tylko przy przywileju. Jeżeli szlachta znalazła się w opozycyi, a przywileje codzień traci, to jakże sobie może zapewnić istność i znaczenie.

— De facto, mości książę, przez fakt że ma tradycyę, że posiada olbrzymie stosunkowo przestrzenie gruntów a więc znaczne w swych rękach bogactwo, największą masę wykształcenia, czyli jest dla narodu środkiem kulturnym...

— Nie zaprzeczam temu wszystkiemu, tylko pozwolę sobie to inaczej oświetlić. Tradycya, ściśle biorąc bez form nigdy niema bytu realnego. Szlachecka tradycya była dotąd rzeczywistością, dopóki nieszlachcie nie wolno było kupować ziemi, nosić oręża; wiem były wyjątki, prawda, czasami nie dobadywano się pochodzenia, ale kto władał ziemią, uważany był ogólnie za szlachcica i to była tradycya zrozumiała i ujęta w formę. Dziś jest tylko fikcya tradycyi i dla tego też na każdym kroku tradycya ta jest obalaną,

nie istnieje w praktyce. Dziś nie znajdziesz dziesięciu rodzin w Polsce, któreby z samej szlachty wylegitymować się mogły...

— Więc przypuśćmy co do szlachty, ale ziemiaństwo.

— Ziemiaństwo, drogi panie, aby o tyle o ile mu jest przeznaczonem, istnieć mogło, potrzeba iżby ukonstytuowało się w fach. Tak jak fabrykanci: piwowarzy, hutnicy muszą sami lub przez swych zastępców, posiadać wiadomości fachowe, aby mogli istnieć, tak i rolnicy bez fachowości ostać się żadną miarą nie mogą. Dopóki nie stanie się to podstawą tej klasy, dopóki wiedza i odpowiedni kapitał obrotowy nie będą grały w ziemiaństwie pierwszorzędnej roli, dopóty będzie ono zbiorem wszelkiego rodzaju indywiduów, mniej lub więcej zdolnych, ale nie mogących wyciągnąć z obrabianej ziemi całego dochodu, ani tego dochodu stosownie użyć. To jedna strona. Co się zaś tyczy stanowiska moralnego ziemiaństwa, to przedewszystkiem niech ono postara się, w dobrze zrozumianym interesie, myśleć najprzód o sobie, bez przechwałek w gębie o jakiejś misyi względem młodszej braci. Ta młodsza brać, jak tylko dojrzeje, sama o sobie radzić będzie, byle·

by jej tylko nie przeszkadzano jakiemi remini scencyami.

— Więc książę sądzi, że rola szlachty i ziemiaństwa...

— Skończona, panie, skończona, fachowi rolnicy jak fachowi lekarze, rzemieślnicy, fabrykanci mogą istnieć...

— A jakaż jest rola arystokracyi? — zapytałem, pewny, iż w kłopot wprowadzę czerwonego księcia.

— Ci, tak jak i szlachta, należą do przeżytych, stanowczo do przeżytych, bez wyjścia, gdyż nawet fach nie zdolen ich zbawić.

—Więc według teoryi księcia, wszyscy arystokraci winni sobie po kolei w łby strzelać.

— E, tak radykalnych środków nie zalecam — uśmiechnął się ks. Jerzy — po co tu proch i kule, kiedy sama natura robi z nami sumaryczny obrachunek. Zajrzyjno pan tylko do herbarza: rody codziennie wygasają, a nie przybywa ich przecie. Koniec końców zabraknie ich nareszcie...

— To nie rozwiązuje kwestyi na dzisiaj.

— Ależ mnóstwo trupów włóczy się po świecie. Pozwólmy im umierać, idzie tylko o to, aby nie chciały żyć sztucznie. Tacy ludzie są przeżyci: arystokrata w użyciu widzący cel swego

żywota, rolnik oparty o herb, ksiądz ciemny i twardy wyłącznością i fanatyzmem, fabrykant wyzyskujący swych robotników, słowem wszyscy ci, co zamiast powszechnej solidarności, wyznają wyłączny egoizm, oparty na jakimbądź przesądzie lub namiętności, wszyscy nie mają żadnej przyszłości i godziny ich są policzone.

— Ależ to mości książę proroctwo, a nie rozwiązywanie kwestyi...

— Każde rozwiązanie kwestyi, jest spełnieniem proroctwa. Umysły bystrzejsze, patrzące, z wyższego stanowiska, przeto dalej widzące prorokują tłumowi, wypadki mają zawsze właściwe przyczyny...

— Czemże więc jest teraźniejszość.

— Walką form nowych z przeżytemi; jeżeli społeczeństwo ma możność pierwszym zapewnić łatwość narodzin i swobodę rozwoju, ewolucya odbywa się szybko i organizm staje się silniejszy; przeciwnie, gdy formy przeżyte dla pewnych powodów, usiłują przedłużyć swą egzystencyę i udaje się im to do pewnego stopnia, organizm choruje, społeczeństwo ogarnia zatęchła atmosfera i senność zdradliwa.

— Cóż czynić, aby uzdrowić organizm?

— Pracować wytrwale na szczęście własne i solidarnie dla szczęścia innych.

— Czyż każdy może spełnić to zalecenie.

— Każdy! — zawołał książę Jerzy z odbłyskiem jakiegoś ognia wewnętrznego — każdy, byleby obliczył się ze swemi siłami, byleby pojął, co mu w danych okolicznościach czynić należy.

— Może to będzie niedyskrecyą, ale zapytam was, mości książę, czy podobny obrachunek zrobiliście z sobą?

— Nietylko że to nie uważam za niedyskrecyę, ale rad jestem zapytaniu, prowadzi ono bowiem bezpośrednio do powodów zawezwania was, panie Saryuszu, na dzisiejszą konferencyę.

Książę bystro mi spojrzał w oczy.

— Chciałem was prosić — mówił zwolna — abyście przyjęli obowiązek zarządzającego w świeżo nabytem przezemnie Lipiu...

Zbladłem, książę to spostrzegł.

— Robi to przykrość waszym szlacheckim nawyknieniom i pojęciom. Gdzieś w ukryciu można pracować uczciwie i honorowo, ale nie między tymi co nas znali panem dziedzicem...

Uwaga była słuszna, tak, nam brak cywilnej

odwagi—otrząsnąłem się więc z pierwszego wrażenia i rzekłem szybko:

— Przyjmuję to miejsce!

— Decyzya krewka, resztka szlachetczyzny bezwiednej, co to zamyka oczy i pędzi w niebezpieczeństwo. Będziesz Pan miał twardy orzech do zgryzienia! Opinia oświadczy się przeciwko tobie, ci którzyby ci przywtórzyli, gdybyś nawet ofiarą uczciwości ocalił Lipie, będą przeciwnikami, na każdym kroku dadzą ci uczuć zmianę w obecnem położeniu i różny do nich stosunek. Każdy szlachetka na obdłużonej wiosce, czysty rodzaj żydowskiego ekonoma, czuć się będzie wyższym i dawać ci to do zrozumienia na każdym kroku. Podwładni twoi okażą ci brak uszanowania i posłuszeństwa—chłopi postarają się zepsuć twoje postanowienia, zrujnować zarządzany dobytek. Oto twój los, panie Saryuszu — przepowiadam ci to z góry.

Książę Jerzy miał zupełną słuszność — w pierwszej chwili nie pomyślałem o tem.

— Lecz właśnie, mówił dalej Kalita — dla tego, że stanowisko trudne, tym walka zaszczytniejsza. Zmienić względem siebie usposobienie od dołu do góry, będzie to właśnie odrodzić się i zacząć ewolucyę do tych form, jakie czekają na nas w przyszłości. Zresztą, uzbroję pana w pewne

środki do walki — a w zamian pan mi pomożesz do przeprowadzenia jednego eksperymentu, który przyprowadzić uważam za obowiązek mego stanowiska.

Tu Kalita wyłożył mi dość szeroko treść zasadniczą swych poglądów na przekształcenia, jakim winno uledz ziemiaństwo, jak również skreślił program społecznego, ekonomicznego i technicznego postępowania w Lipiu. Nie mogę tych rzeczy powierzać papierowi, bo nie stanowią one mojej tylko tajemnicy. Skoro się zobaczymy osobiście, udzielę ci wszystkich szczegółów. W programie księcia nie wiele jest nowego, ale nowością chęć sprobowania reformy, chęć zastosowania jej na szerszy rozmiar. Pomimo całej teoretyczności poglądów i premis, Kalita posiada wiele zdrowego rozsądku i praktyczności. Pojmuje, że ewolucya w bycie rolniczej populacyi, nie może nastąpić nagle, że wymaga pracy pokoleń — ale mniema, iż trzeba ją przecież rozpocząć, bez odkładania do jutra. Lipie otrzyma w tym celu pewne amelioracye, które będą dążyły do rozwiązania zadań przyszłości. Goła oświata nie jest jeszcze dostatecznym środkiem do popchnięcia maszyny na drogę postępu. Sądzono, że owo kółko błędne: oświata dobrobyt — dobrobyt oświata, najłatwiej rozwiązać, fundując szkółkę. Tymczasem życie

jest całością i tylko popierająo je na wszystkich punktach, równocześnie można rozwikłać kwestyę życiową. Książę jest przekonania, iż ziemia musi należeć do wszystkich tych, którzy ją bezpośrednio uprawiają, ale nie w rodzaju bezpośredniej własności, lecz w guście używania doczesnego. Nietylko, że wszyscy oficyaliści w Lipiu zaczynająo odemnie, a kończąo na ostatnim parobku, będą mieli tantiemę, ale będę miał obowiązek założyć kasę, która przedewszystkiem musi ułatwić ludności bezrolnej, wytwarzającej się na wsi, nabywanie gruntu zaczerpniętego jużto z ościennych folwarków, już głównie z kompleksu dworskiego. Wszystkie części gruntów bardziej oddalone, nie stanowiące zaokrąglonych z całością niw, będą stopniowo parcelowane aż dotąd, dopóki to z systematem większego gospodarstwa będzie zgodne i nie naruszy większego ogniska, potrzebnego do równowagi. To większe ognisko musi stać na czele okolicy, prowadzić szerokie gospodarstwo wzorowe i dopełniające potrzeb ogólnych; musi ono dawać zarobek okolicznej ludności, przyswajać sobie wszelkie ulepszenia i wypróbować takowe, aby być wzorem dla małych sąsiadów. Takie gospodarstwo posiadać winno przemysłowe zakłady zgodne z naturą okolicy i jej płodów, aby drob-

niejsza predukcya miała centr zbytu, nie tracąc użyźniających sił z odpadków rolnych płodów. Tylko w takim stanie rzeczpospolita rolnicza może iść równomiernie, ręka w rękę. Między większe ogniska, rozdzielą się mniejsze gospodarstwa, których liczbę do granic możliwości trzeba mnożyć. W Lipiu będzie założoną stosowna kasa ułatwiająca drugim i trzecim synom chłopów na małych włościańskich sadybach siedzących, na bycie własnego gospodarstwa, bez uciążliwego obciążenia ojcowizny i zbytecznego jej rozdrobnienia przez podział. — Pożyczki z kasy będą brane pod pewnemi warunkami co do zaprowadzenia gospodarstwa na nowej sadybie, tak aby ono harmonizowało z ogólnemi potrzebami miejscowości i planem całości, o której mówiłem. Część ich ma być zwracaną z ojcowizny bez uszczuplenia jej kompleksu, część z nowo powstającego gospodarstwa. — Przytem system wioskowy, jako nasz rodzimy słowiański i polski, zostanie utrzymanym, bo nie uprawa roli i jej korzyści, ale kultura ludzka jest ostatecznie celem społeczeństwa. W systemie wioskowym znajdujemy ułatwienie towarzyskiego postępu: ochrona dla małej dziatwy, gdy rodzice na robotach w polu, szkółka, gospoda, sklepik wiejski, towarzystwo

straży pożarnej, ubezpieczenia od ognia, pomoru bydła, gradu, spółki wytwórcze: jak mleczarska, ogrodnicza, wreszcie wiejskie kółko rolnicze—najłatwiej dadzą się zaprowadzić przy systemie wioskowym, gdyż polak potrzebuje żyć w związku, wspólnie, towarzysko. Ludzie nie są pionkami, ale ludźmi, mają swoją psychiczność i właściwości narodowe. Prawda, urządzenie wioskowe, wymaga pokonania większych trudności technicznych — lecz czyż to już dostateczny powód, aby usuwać ten tradycyjny i słuszny tryb pożycia narodowego?!

Dosyć! — widzę, żem się nadmiarę rozpisał i mogę cię znudzić, mój Stefciu. Niech ci to jednak da miarę obecnych moich tendencyj, jakie powstały pod wpływem narad i szczegółowych informacyj ks. Kality. — Dotąd zajęty byłem wyłącznie mojem egoistycznem szczęściem, troszczyłem się o mój wyłącznie los, marzyłem o odzyskaniu mego dawnego stanowiska. Odrodzenie moje miało nastąpić, skoro odzyskam dawną posiadłość, skoro znowu stanę na tym punkcie, który porzucili moi przodkowie. Książę ukazał mi nowe horyzonty. Mam odzyskać nie rzeczowo, nie materyalnie moje gniazdo rodzinne, ale mam je po raz drugi stworzyć na warunkach zgodnych z biegiem rzeczy

i potrzeb nowoczesnych. Powiedziałem ci, Stefciu, że książę jest praktycznym umysłem: abym ja taką, jaką naznaczył mi funkcyę, mógł spełniać rzeczywiście, swobodnie i z zupełnem oddaniem się swej roli, muszę mieć, obok idealnych celów, jeszcze materyalne pobudki. Książę przyjął moje dwadzieścia tysięcy rubli na pierwszy numer, po towarzystwie, hypoteki Lipia. Tym sposobem jestem jakby jego współwłaścicielem i czuję się bliższym tej ziemi, która karmiła moich ojców. Znowu będę orał te pola, wśród których wyrosłem, znowu będę blizki tych ludzi, których tak dobrze znałem i tych starych prochów rodzicielskich, które kochać każdego szlachetnego serca ludzkiego, jest świętą potrzebą. — Gdyśmy skończyli długą naszą rozmowę, podałem Kalicie rękę i tym razem z głębi duszy podziękowałem mu, iż daje mi możność zrobienia czegoś użytecznego. — Coś w rodzaju wzruszenia, mignęło na jego wielkiej, ospą pobruzdowanej twarzy. Ale trwało to chwilkę — jakiś żart naciągnięty, pokrył maską ten objaw uczucia. — Lecz mnie to już nie zwiedzie — wiem co trzymać o tym człowieku. Kasta jego należy do przeżytych—ale on sam jest rozbitkiem uratowanym. Z takiemi uczuciami, w takim nastroju wróciłem na Wołyń, aby urządzić zastęp-

stwo i zdać administracyę tej ustroni. Na moje miejsce przysłano tu młodego człowieka, praktycznego agronoma z zaleceniem, aby prowadził dalej gospodarstwo według nadanego mu przeze mnie kierunku. Mam tę pociechę, że cztery lata mej pracy zostawiają tu ślady, a nawet, jeśli dobrze widzę, żal za mną tutejszego ludu i służby... Jest to nagroda słodka i zachęta do dalszej pracy. Potrzebowałem jej i potrzebuję — w mojem opustoszeniu i rozbiciu osobistem, bardzo mi drogiem ludzkie współczucie. Ta myśl, że was wkrótce zobaczę i że się znajdę wśród swoich, także mi jest drogą. Jedno mię tylko straszy: wspomnienie utraconego a niepowrotnego szczęścia! W Lipiu tyle jest śladów Jej pobytu, tyle pamiątek, które miały być skarbem mego życia, a staną się źródłem jego męczarni — iż myśląc o tem, drżę całem mem jestestwem. Ale trzeba być mężnym — na czemże polegałoby zwycięztwo, jeżeli nie na pokonaniu siebie, na czem odkupienie, jeśli nie na osobistych uczuć ofierze".

Stefan odłożył ostatnią kartę rękopisu i zmęczone spojrzenie rzucił przez wychodzące na taras okno. Tam przechadzała się Ernestyna z bratem. Widok tych tak blizkich mu istot, sprowadził tylko chmurę na czoło Saryusza. On bezmyślnie —

sądząc także, że uratuje ojcowskie gniazdo, że spełni obowiązek obywatelski przez zatrzymanie ziemi w swych szlacheckich rękach, szukał ratunku w bogatem, jak się zdawało ożenku. Poszedł za podstępną radą swego plenipotenta i sługi i dla czyjejś fantazyi poświęcił nietylko siebie, ale swą naukową karyerę. — Nietylko że w szczęściu domowem spotykając pogardliwy chłód żony, był zawiedzionym, nietylko że ten świat, w który wszedł, tak mu jest swą płaskością wstrętny, nietylko że nie uratował Lipia, ale widzi się obecnie na stanowisku pasorzyta wobec zrujnowanej magnackiej rodziny. Wszystkie męty wynikające z podobnego stosunku — on spija obficie. Hrabina matka w swych monologach wypowiada mu to codziennie, brat żony głupio i niedelikatnie podkpiwa sobie z jego uczoności i tendencyj, a słudzy półgłośno nazywają go darmozjadem. Teraz znowu żona, wyniosła i pogardliwa z nim zawsze, daje mu zlecenie, aby w interesie zagrożonej rodziny, wyswatał swego brata, tego drogiego i dzielnego człowieka, z córką Brobka, z tą dużą, czerwoną pannicą, dla której policzkowanie folwarcznych dziewek stanowi prawdziwą rozkosz życia. Wszystkie marzenia Witolda, z których mu się wyspowiadał. wszystkie jego wzniosłe aspiracye

powstałe pod natchnieniem wyższego umysłu ks. Kality — mają runąć, a Saryusz znowu się zaprzęże do wozu, aby wycharować w błocie bezmiernych długów zagrzęzłe Słomiany wraz z kluczem Wilkowskim. Czyliż ma żądać tej ofiary od brata, zgodzić się na przyjęcie poświęcenia, którego skutki jakże są płonne w porównaniu z żywionemi przez Witolda zamiarami! Co jest warta ta stara hrabina, całemi dniami wydekoltowana i czytająca głupie francuzkie romanse, co jest wart ten rozpustny okłopak, pędzący czczy żywot. Czyż życie Witolda, przy potem skropionej pracy, ma upływać w brutalnem towarzystwie takiej Leokadyi, takiego Brobka — dla tego, aby utrzymywał się sztuczny blask Saryuszów, aby się zadość stało pogardliwym rozkazom Ernestyny? Nie, nigdy się na to nie zgodzi Stefan Saryusz.— Ostrzeże on brata o zastawionej nań pułapce, pomoże mu raczej do zerwania zawiązujących się delikatnych nici intrygi... Tak, tak, tego wymaga serce, honor Saryuszów.

Ale czy Stefan Saryusz człowiek słaby i wyrodzeniem kasty dotknięty, dotrzyma swej obietnicy?

VI.

Nadszedł dzień ósmy września — ten jesienny dzień święta Maryi Panny. Cicha wieść krążąca od sioła do sioła, od chaty do chaty, zapowiadała dawno, wielką uroczystość w Słomiańskim klasztorze. Miano poświęcić kapliczkę nad cudownem wzniesioną źródłem, w kapliczce cudowną figurę, a co więcej „zachwycona" miała przybyć na tegoroczną uroczystość, gdyż według objawienia, przy poświęceniu kaplicy Święta Panienka miała się poraz ostatni ukazać w tem ukochanem przez siebie miejscu.—Wszystko, co tylko w bliższej i dalszej okolicy żyło, co się tylko poczuwało do wiary katolickiej, pośpieszało do Słomian na ten dzień uroczysty.

Popsuła się pogoda i spadły jesienne, długie, zimne deszcze, chmury jednostajne, czarne; zalegały horyzont, a wilgoć w postaci oparu przesycała powietrze. Błocko gręzkie zaległo gościńce

i drogi a koła furmanek napełnionych pątnikami z dalszych okolic, wrzynały się po osie. Czerwone bose nogi kobiet, niosących trzewiki w ręku, lgnęły głęboko po kostki w mule, a ostry wiatr przenikał do kości, przez zmokłą odzież pielgrzymów. Ci co przybyli wcześniej, szukali schronienia po chałupach; gdy izb nie stało, to lokowali się pod strychami. Ale wkrótce zbrakło tam miejsca i przybyli biwakować musieli pod gołem niebem. — Rozpalano wielkie ognie, przy których grzano się i warzono strawę. — Napływ ludu był tak wielki, iż nieliczni przekupnie, w kilka godzin sprzedali swój towar i gdyby lud nie był w sakwach przyniósł żywności, głód zdziesiątkowałby tę populacyę. — Co tylko można było nabywać obficie, to wszelkiego rodzaju i gatunku świec i świeczek: gromnice grube, woskowe ozdobione girlandami bractwa różańcowego i nawet łojówki i łojóweczki, które najubożsi mieli ofiarować Świętej Panience. — Od trzech dni już przybywały większe i mniejsze kompanie, a klasztor od góry do dołu, zapełniony był wszelkiego rodzaju zakonnikami, księżmi, starszymi bractw i dygnitaryą okoliczną. Nabożeństwo trwało bez ustanku, a trzy razy dziennie odmawiano koronkę przed cudowną statuą u cudownego źródła, nad któremi

wzniesiono teraz dość prostą i architektonicznie pospolitą kapliczkę, z dzwonkiem dającym znać o rozpoczęciu nabożeństwa. Koronkę rozpoczynały Augusta Szyferkowa i Basia Wieczorkowa, dwie zachwycone ze Słomian, którym się przed trzema laty ukazało po nad figurą cudowne światło i Najświętsza objawiła Panienka. Dziewczyny podrosły, ale wśród klasztornych postów, ascetycznego, wyczerpującego życia, nie wiele zmężniały. Szczególniej Basia — z pyzatej dziewczyny stała się cherlawą, z wesołej i pustej, przygnębioną i apatyczną. Jakaś choroba musiała się tam zagnieździć i spustoszyć zdrowy organizm. Augusta z natury nerwowa, wątła — trzyma się lepiej, ale snać niestraciła jeszcze swej skłonności do katalepsyi; z nadejściem jesieni, wpada ona każdego niemal wieczoru w sen, który obecnie staje się coraz krótszym. Widok migocącego światła nad obrazem, śpiew mniszek klasztoru, gdzie znalazła schronienie, wywierają na jej nerwy wpływ i przyspieszają chwilę zapadnięcia w katalepsyę. Powietrze leśne, zapach wilgotny opadłych liści wywierają również ten skutek. Augusta ma zawsze w takim stanie widzenie i odpowiada na zapytania, jakie są jej czynione. Odpowiedzi jej są najtrafniejsze, gdy ją trzyma za rękę albo ks. Hya-

cynt, albo też spowiednik klasztoru. Od trzech dni wizye Augusty powtarzają się stale pod figurą i niema wątpliwości, że wpadnie w zachwyt podczas uroczystego odejścia Świętej Panienki. —

Dzień ósmy września był szczególniej chmurny i mglisty, chociaż deszcz przestał padać od rana; można było widzieć na wszystkich drogach wiodących do Słomian niezliczone szeregi ludzkich mrówek, spieszące do tego ogniska cudów i pobożności. Jeszcze przy wigilijnej modlitwie, oświadczyła Augusta, iż tylko ci, co się znajdować będą pod gołem niebem, otrzymają łaskę Świętej Panienki i pożyszczą Jej błogosławieństwo. Wszyscy więc opuszczali czemprędzej izby i poddasza i cisnęli się ku klasztorowi, aby być bliżej figury i świętego źródła. Cały las, wzgórze, na którem stał klasztor, parów dzielący go od figury, zatłoczone były jedną nieprzebraną falą głów ludzkich. Po południu już, skoro się zaczęło zmierzchać, powstał taki tłok, że nietylko nie można się było przecisnąć, ale nawet uklęknąć. Zbita masa oddychała ciężko, falowała jak jeden blok ludzkiego ciała. Jakieś kataleptyczne prądy krążyły w tem mrowisku rozmodlonem, rozśpiewanem, drżącem uniesieniami siły nerwowej, skierowanej ku rzeczom nadprzyrodzonym.

Mgła wieczorna lekkim gnana wiatrem, poczęła spływać z wyżej położonych lasów, otaczać przedmioty: wieżyce kościoła, mury klasztoru, kapliczkę, drzewa i ludzi. Sygnaturkę kaplicy poczęto oświecać lampkami, które zapalając się, rzucały majaczące promienie śród gęstej mgły. Struga światła zstępowała coraz niżej, zapalano lampy u wejścia do kaplicy i źródła, wreszcie, kolorowe latarnie na okolicznych zawieszone drzewach. Nagle tu i owdzie zabłysło światełko zapalonej gromnicy, jedno zapaliło się od drugiego, od niego dziesiąte, setne, aż naraz cała góra na której wznosiła się kapliczka, dalej parów, dziedziniec klasztorny, drogi i pola, stanęły w jednem morzu świateł gromnicznych. Jakby za uderzeniem różczki czarodziejskiej, jakie pięćdziesiąt tysięcy świec i świeczek wielkich i małych, białych i żółtych migać, zlewać się i płonąć zaczęło ku wspaniałej iluminacyi na cześć Boga Rodzicy. Horyzont zapłonął odbiciem tych blasków, a powietrze zdawało się przesycać mgłą i światłem.

Trzy chrapliwe trąby umieszczone na wieży klasztornej, dały znak rozpoczęcia ostatniego różańca, podczas którego, według krążącej wersyi, miała Święta Panienka pobłogosławić kapliczkę, źródło i oddalić się do przybytku rozwar-

tych Niebios. Przed figurą klęczy Augusta i Basia, koło nich szeregiem zakonnice, dalej ogromny tłum księży, bractwa i zbita na pół klęcząca, na pół stojąca masa ludu. Rozpoczęto litanię loretańską — a po pierwszych wyrazach, naprzód Augusta, potem Basia, wreszcie stara Szyferkowa wpadły w zachwycenie i oddały pokłon figurze N. Panny. Księża głosem miarowym, stłumionym odmawiają litanię a dziewczęta niewracają do przytomności; ukończono *Salve Regina*, one jakby nie żywe, z hymnu o Sanctissime pierwsze zwrotki prześpiewano, one jeszcze nieruchome, dopiero gdy zaintonowano Magnificat, Augusta otworzyła oczy i westchnęła. Oświadcza ona, że widziała Matkę Boską, jak unosiła się nad źródłem, że pobłogosławiła takowe i statutę, a przyrzekła ludziom wiary łaskę i uzdrowienie, oraz zapowiedziała, że po różańcu zstąpi do nieba i nie ukaże się aż za rok. Znowu sygnaturka bliższym, a trąby dalszym tłumom dały znak rozpoczęcia różańca — znowu ta muzyka odzywa się raz pierwszy i drugi podczas modlitwy, a gdy zabrzmiała poraz trzeci dzwoniąc zapowiedzią, że Matka Boska oddaliła się od ludu, powstaje taki płacz niesłychany, lament i krzyki rozdzierające, iż drżą lasy, drżą mury klasztoru. Kobiety mdle-

ją, padają na ziemię, tłum się rozstępuje, depce wzajemnie, a świeczki i gromnice chwieją się niespokojnym ruchem, górą zaś płynie z tysiąca tysięcy piersi pieśń: „Najświętsza Panno".

* *
*

Jakby dla kontrastu—klasztor był ciemny; tylko fasada kościoła okolona jednym rąbkiem lampek, rysowała się nakształt transparentu na czarnem tle mgły i nocy. Tym fantastyczniej i uroczej wyglądało to morze świateł w dole, te płonące migoczącemi światełkami lasy, pola, drogi, to tysiące kornie schylonych głów, zacząwszy od najuboższego żebraka do jaśnie wielmożnych dziedziców i dygnitarzy. Z wieży kościelnej wspaniałemu temu widowisku przyglądały się trzy osoby ukryte w cieniu. Z tej wyniosłości można było półmilowy ogarnąć obszar a mgła stanowiła ramy, nadająo dziwną fantastyczność położeniu. Stojący na wieży unosili się jakby w oceanie chmur, pomiędzy któremi w przerwach ukazywała się wspaniała swym ogromem iluminacya na cześć Maryi, gdzie widać było tysiące głów schylonych kornie i brzmiała jedna oddaleniem scharmonizowana pieśń pobożna. Przypatrującymi się był gwardyan ks. Anzelm, jego powiernik ks. Hia-

cynt i Juliusz. Juliusz tylko co wrócił do kraju. Na usilne żądania wuja, ks. Pawła Skoryny, pozwolono mu przed odebraniem święceń odwiedzić rodzinne strony. Gwardyan również życzył sobie widzieć młodzieńca, o którym donoszono mu cuda z seminaryum. Niesłychana bystrość pojęcia, intuicya, talent poetycki, natchnienie i dar krasomówczy, rokowały zeń na przyszłość, prawdziwy skarb dla Kościoła.—Juliusz był naturą nerwową, hojnie obdarowaną, gorącą i szlachetną. Ze szkół przy niewielkich zasobach, wyniósł wszystkie aspiracye teoryi o poświęceniu się dla sprawy ogółu. Ks. Paweł w czasie wakacyj nauczył go kochać lud prosty. Juliusz widział w ludzie wielką potęgę, którą tylko trzeba było nauczyć samowiedzy przez poświęcenie się mu i cnoty. Młody człowiek wcześnie przeczuwał swoją siłę wymowy, zapału, bezinteresowności. Dwie stały dla niego drogi do zbliżenia się do ludu: doktorska lub kapłańska. Przykład wuja Pawła, rozmowy z ks. Anzelmem i Hiacyntem, zdecydowały go na drogę duchowną. Wziął krzyż swój u jej zaczęcia i poświęcił swą młodocianą miłość dla Zosi. Nie dobrze nawet pojmował co czyni, nie rozumiał skutków, jakie to poświęcenie — dla dziewczyny pociąga. Skoro się znalazł śród obcych kra-

jów, w seminaryum, głos serca ucichł przytłumiony świeżemi wrażeniami. Dogmatyka i homiletyka katolicka opanowały go zupełnie. Ta pewność wiedzy religijnej, która na wszystko znajduje odpowiedzi wystarczające i gotowe, zaimponowała mu niemało. Umysł jego z natury był syntetyczny, nieznał analitycznych metod i sceptycyzm nie zakradł się jeszcze do tej młodej duszy. Krytyka historyczna, która tak wielkie spustoszenie zrządziła na polu wiedzy kościelnej, nauki przyrodnicze, które obaliły podstawy systematu, były Juliuszowi obce. Teksta, któremi w seminaryum wojowano, zdawały mu się nienaruszonemi prawdami, a słodka pociecha wspaniałych nauk ascetów i proroków Kościoła, upajała go i czyniła silnym. Lecz tu na ziemi ojczystej spotkał się z pierwszym cierniem swego żywota — z mogiłą współtowarzyszki młodości, z grobem istoty kochanej. Kiedy mu w kąciku cmentarza, wśród czterech rozłożystych topol pokazano tę górkę ziemi, ustrojoną w sielskie wianuszki, uczucie jego stało się gorzkie jak piołun. Mało rozumował, nerwy się jego rozstroiły. Czuł, że był tu przyczyną śmierci, że jego nieobecność, jego obojętność i milczenie, zabiły tę wiotką istotę. Czyliż wszyscy mieli prawo do niego — prócz niej?

czyliż miał się poświęcać dla pierwszego lepszego z brzegu, tylko nie dla tej co go dziecięcem ukochała sercem? — Gdyby Juliusza pozostawiono z jego uczuciami, w samotności plebanii Lipia, byłyby się one z mgłami jesieni w łagodnej rozwiały elegii. Ale ks. Anzelm nie miał czasu do psychologicznych spostrzeżeń nad stanem duszy młodego laika. Lud już się zgromadził w Słomianach, zjeżdżali się goście klasztorni i rozpoczęła się uroczystość, która miała ugruntować sławę tej miejscowości — w szeregu „cudownych" w kraju naszym. Ksiądz Anzelm liczył nawet, że wspaniałość obrzędów i to widowisko niezwykłe, wywrze potężny, niezatarty wpływ na umyśle młodzieńca. Trzymał on przy swym boku Juliusza, którego prześliczne rysy herubina, wiotka zgrabna postać, ściągały na siebie oczy kobiet, głównej wszędzie podstawy pobożnych tłumów. Gwardyan atoli popełnił w tem omyłkę — w pośpiechu ani zbadał rozdrażnionego stanu duszy młodzieńca, ani też dość uważnie grał własną swą rolę. Tę młodocianą ufność nienależało wystawiać na zbyteczne zbliżenie się do tajemnic, które miały pozostać zakryte dla oczu niepowołanych. Zdaleka wiele rzeczy w tej komedyi mogło się wydać prawdziwemi, zblizka budziły nieufność. Towarzy-

stwo starych księży — mianowicie skoro się sądzą u siebie — jest najniebezpieczniejszem dla młodych laików. Otoczenie gwardyana nie zawsze pamiętało, że je słucha Juliusz. Pogarda dla ślepej wiary ludu, szydercze półsłówka D-ra Hunda i Kotka, grube żarty zakonników, był to moralny ferment, który poczynał się dostawać do duszy Juliusza i zakłócać pełen wiary i abnegacyi spokój. Juliusz poczuł instynktowo fałsz tego wszystkiego, doznał odrazy do tych ludzi i z tem przykrem uczuciem, towarzyszył wszędzie Gwardyanowi.

I teraz ks. Anzelm wsparty na jego ramieniu, w towarzystwie ks. Hiacynta wstąpił na wieżę, aby z ganku, niewidzialny sam dla tłumu, przyjrzeć się dogorywającej uroczystości. Istotnie, widok był imponujący i mógł słuszną natchnąć dumą tego, który się stał jego sprawcą. Ks. Anzelm nie wiedział atoli, iż tam w dole obok drogi, która się krzyżowała w cztery strony świata, na przyźbie świeżo zbudowanej obszernej karczmy, stał sobie skromny żydek w łapserdaku i przebierając w kieszeniach drobną monetę, nucił zwykły majufes; żydek ten z zadowoleniem, choć z nie tak wysoka przyglądał się całemu dziwowi-

sku i obliczał praktycznie zysk ściągnięty z każdej głowy pontnika. I cieszyło się serce izraelity z tego, co widział — a mogło się cieszyć słusznie, bo to jego był pomysł, jego właściwie dzieło i on też rzeczywisty plon zbierał. —Szloma nie opuści już karczmy, nie odda nikomu tak dobrze procentującej propinacyi, ale jego synowie wkrótce się już przeniosą do miasta, gdzie prowadzić będą wielkie zyskowne interesa. Wielkim jest Bóg Izraela i niech da zdrowie panu Brobkowi i ks. Anzelmowi, że posłuchali dobrej rady ubogiego żydka. Ale ks. Anzelm o tem wszystkiem nie myśli— stracił on już poczucie początku, a upaja się skutkami. Widzi, iż odbudował wpływ klasztoru, że go opatrzył nieprzebranem źródłem potęgi i trzeba postarać się, aby koło tego skarbu pracowały umiejętne ręce. Zakonowi brak sił inteligentnych, brak talentów, wyższych umysłów, któreby umiały pociągnąć za sobą nietylko prostaczków, ale i wyższe społeczne warstwy narodu. — Zdawało się ks. Anzelmowi, że trzyma właśnie w swym ręku jeden z takich instrumentów, stworzonych dla dobra jego sprawy i sprawy Kościoła.

—Czarowny widok, szepnął Gwardyan, wodząc do koła delikatną swą, pulchną i białą dłonią.

— Nie ludzie też sprawcami jego — rzekł Hiacynt, ale wszechmoc Boża, która z niczego światy wywodzi.

— Dobrześ powiedział, Ojcze, z niczego... całe to wielkie i wspaniałe dzieło powstało też z niczego.

— Dźwignęła je, księże gwardyanie, wiara, ta wiara, co kruszy skały i twardsze od skał serca ludzkie.

— Tak, wiara nasza w zbawienne to dzieło była silna, niezłomna, w obecnym bowiem czasie powszechnej bezbożności, tylko żywy zdrój łaski może ludzkość odkupić...

Juliusz zdawał się nie zwracać uwagi na to, co mówią między sobą dwaj zakonnicy. Myśl jego istotnie bujała po tumanach mgły, unoszącej się jak biały płaszcz po nad okolicą — tak mu dobrze znaną, tak drogą. Biegła ona w zakątek cmentarza, gdzie złożono drogie zwłoki dziewczęcia. Jakże tam być musi zimno w tym grobie, jakże tęsknem było całe życie Zosi. Dziwnie ta myśl go prześladuje i nie daje mu spokoju, nawet na tej wysokiej wieży, w obliczu tej majestatycznej sceny nabożeństwa ludowego.

— Tak, odkupieniem dla ludzkości jest tylko łaska...

— Pokuty — szepnął młody kleryk.

Obaj zakonnicy spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Nie, Juliuszu, zauważył łagodnie Gwardyan, łaska widocznego cudu, który Pan zsyła dla umocnienia wiernych, a przekonania niedowiarków.

— Wiara bez uczynków jest martwa, zwolna przychodząc z zadumy do przytomności, wygłosił Juliusz—a ten tłum czemże, jeśli nie rojowiskiem wierzących, który próżen jest uczynków. Czy wielu będzie z tych pielgrzymów, co życie nowe tu zaczną, co jutro wezmą się do pracy Bożej?

— Źle ich sądzisz — mój młody bracie, przestrzegł ostrym głosem ks. Hiacynt, albowiem wiara żywa ich tu przywiodła i przez to wszyscy oni dostąpią łaski Pańskiej i odkupieni będą.

— Proste są ich serca, przytwierdził Gwardyan. Ale Juliusz ma w części racyę, iż bez przetworzenia się wewnętrznego, bez dobrych uczynków, nie dadzą się zdobyć ani doczesny spokój, ani wiekuiste dobro...

— Świat jest pełen zepsucia.

— I dla tego, mój młody przyjacielu, tym ważniejsze jest stanowisko rycerza wiary. Tak, Juliuszu, świat jest pełen zepsucia — bo chory! Jego soki są zakażone niewiarą, a lekarstwo złożone

jest tylko w świętych rękach Chrystusowego Kościoła.

— Dystrybutorami tych łask, ciągnął dalej podchwytująo Hiacynt, są kapłani, a rola ich tym ważniejsza, że Kościół obecnie znajduje się w uciemiężeniu...

— Najwyższy kapłan katolicki w niewoli, słudzy jego w poniewierce...

— To też obowiązkiem każdego poczuwającego się na siłach katolickiego młodzieńca jest, przepasać biodra swoje i wystąpić do boju za prawdę.

— Nieprawdaż, Juliuszu,—zapytał wprost Hiacynt, że ty będziesz jednym z takich Gladyatorów Pańskich, gotowych zginąć, lub zwyciężyć dla honoru Imienia Bożego?

— Przysposabiam się na księdza, rzekł młodzieniec, do którego tak bezpośrednio zwrócono zapytanie.

— Na księdza świeckiego,—nie, moje dziecię, o tem nie mówimy. Ksiądz świecki, to więcej urzędnik Kościoła, administrator Sakramentów. Prawdziwi bojownicy wiary, to tylko ci, co przywdziali habit — to tylko zakonnicy.

— Nie myślałem nigdy o tem.

— Nie myślałeś, to nic nie szkodzi, zastanowić się można. Kościół stoi zakonami, bo tylko zupełne oderwanie się od tego świata, wyrzeczenie kompletne, uświęca i daje siły do walki. Mojem zdaniem, prawdziwa wielkość umysłowa, tylko znaleźć się może za kratą klasztoru.

— A ja myślałem inaczej, księże Gwardyanie, odważył się zaprotestować Juliusz, życie za kratą wydaje mi się zmarnowaniem życia. Ksiądz na plebanii jest ojcem swego ludu, bierze udział w jego pracy, w jego nadziejach, radościach i smutkach. — Mój wuj...

— Ach, ksiądz Paweł jest poczciwym człowiekiem, ale jakże można jego zacny lecz skromniutki byt, porównywać nawet z przeznaczeniem zakonnika. Siedzi on sobie w wiosce, nabożeństwo klepie, chrzci dzieci, zmarłych grzebie — ot i po wszystkiem. — Co innego zakonnik, on jest prawdziwie rybakiem dusz ludzkich, misya jego jest powszechną. — Zakonnicy tylko byli i są po dziś dzień apostołami uniwersalnymi. Nie wioska, lub jeden kościołek, ale ludzkość i Kościół powszechny dla nich polem działania. — Patrz oto, młodzieńcze, czy jaki ksiądz świecki, zdołałby zebrać te tłumy u stóp swoich, czy umiałby je natchnąć jedną myślą i poprowadzić do jednego celu?

— Nie, nigdy! przywtórzył z zapałem Hyacynt, nigdy, to może być tylko dziełem zakonnika.

— Słuchaj, Juliuszu, poważnie rzekł ks. Anzelm, nie bez celu pokazuję ci to świetne i wzruszające widowisko. Patrz, do czego dojść może ubogi sługa Boży, skoro oprze się na łasce Pana swego. Rząd sercami będzie do niego należał, rozwiązanie tylu sumień w jego jest ręku. — Czyliż po taki zaszczyt nie sięga twoja ambicya? czyliż nie marzysz, aby zostać Piotrem lub Bernardem ale naszego wieku, aby porwać świętością życia, wymową, społeczeństwo chrześciańskie i zaprowadzić go, ale nie na zdobycze, nie na boje, lecz do świątyni Piotra, do stóp namiestnika Chrystusowego....

— Mój ojcze, jestem młody człowiek, próżen ambicyi wielkiej — oprzytomniając submitował się Juliusz.

— Ty jesteś atletą duchowym, młodzieńcze. Kościół ma dosyć sług i urzędników, ale potrzebuje rybaków, którzyby łowili dlań dusze zmateryalizowane, oplątane nowożytną wiedzą, fałszem i złudą. Juliuszu, bramy naszego klasztoru otwarte, dość ci rzecz słowa, abyś z nami pozostał.

— Nie, nie, zawołał młodzieniec przestraszony, ja nie chcę się zamurować żywcem w tym kamien

nym domu. Ja chcę żyć na świecie i dla świata między ludźmi, aby im nieść słowo pociechy, pomagać w troskach ziemskich, w poszukiwaniu prawdy. Mam być księdzem — ale chcę być świeckim, chcę być plebanem między najuboższymi, aby im służyć, a samemu ukojenie znaleźć.

— Więc odrzucasz moją propozycyę — spytał Gwardyan.

— Ach, odrzucam, stanowczo odrzucam, tu mi cudzo, obco, tu wszystko wygląda podejrzanie...

Księża znów zamienili między sobą spojrzenie.

— A więc słuchaj, Juliuszu, rzekł ks. Anzelm, widzę, że z ciebie jest rozsądniejszy i dojrzalszy człowiek, niż mniemałem. Masz wysoką ambicyę, mierzysz górnie. Dobrze. Lecz czyż myślisz, że te tłumy nie godne są zabiegów, że rząd nad niemi nic nie wart, że miedziaki chłopstwa nie złożą się na wielkie skarby, że nie dadzą one środków potężnych, że ze stanowiska zakonnika, nie można się wznieść na najwyższe godności Kościoła... Jesteś młody, masz wielkie zdolności, posiędziesz z czasem znakomitą wiedzę. Możesz zasłynąć jako kaznodzieja, jako pisarz, a to daje broń i rozgłos, tego się ludzie obawiają i przed tem korzą...

— Ojcze Anzelmie, ja tego nie pragnę, ja chcę pracy koło ludu, któregom blizki i który potrze

buje odrodzenia, potrzebuje w kapłanach przewodników.

— Mrzonki! nie potrzebujemy odrodzonego ale pobożnego, posłusznego i ofiarnego ludu. Widzisz że z tobą rozmawiam, jak z dojrzałym człowiekiem, bom cię przeznaczył do wielkiej roli na tym świecie, a ty, skoro nadeszła godzina, wyrywasz się z moich rąk. — Mniemałem, że jesteś dość pobożnym, abyś sam zechciał pracować na tem cudownem polu, wreszcie dość ambitnym, aby ci zasmakowały widoki przyszłości i dość rozumnym, abyś ocenił już właściwe położenie. Niestety, oszukałem się na tobie. Lecz jest jeszcze jeden wzgląd: bądźże przynajmniej wdzięcznym za dobrodziejstwa, których doświadczałeś dotąd.

— Dobrodziejstwa!?

— Tak, boś dotąd jadł chleb, odejmowany od żebraczych ust zakonników.

— Ja? ja?

— Ty, bo czyś pomyślał kiedy, zkąd się to biorą te środki, któreś zużywał w podróżach, kto płaci koszta twego materyalnego utrzymania w zagranicznem seminaryum, kto wynagradzał tych nauczycieli, którzy starali się o rozwój twego umysłu i twych przyrodzonych talentów. Kto?!

Blada twarz Juliusza pokryła się milczeniem, on o tem dotąd nie pomyślał. Ks. Paweł wręczył mu pewną sumę na podróż, w seminaryum nigdy nie upominano się u niego o pieniądze, nauczyciele, u których po za godzinami brał lekcye, nigdy nie mówili z nim o pieniądzach. Słowem, kwestya ta była dla niego obcą.

— Przecież, mówił dalej ks. Anzelm — nie mógł ci tego dostarczyć ubogi ks. Skoryna, którzby biednym rozdał trzy razy więcej niż ma. Oto klasztor nasz łożył na ciebie od lat trzech w tej nadziei, że mu to swą pracą odwdzięczysz, że swemi usługami dla wspólnej sprawy, dla dobra Kościoła zapłacisz.

— Mój ojcze! mój ojcze!

— Musisz być posłuszny swemu przeznaczeniu, musisz uledz konieczności i naszej woli... inaczej jesteś niewdzięcznikiem, niegodnym, zdrajcą zaciągniętych obowiązków...

Ks. Hiacynt byłby jeszcze grzmiał dalej, gdyby mu gwardyan nie dał znaku milczenia. Juliusz był istotnie zmiażdżony odkryciem, które mu niespodzianie zrobili ojcowie. Chwiał się na nogach i prawie nieprzytomny szeptał.

— Pójdę do Rzymu, rzucę się Ojcu Świętemu do nóg, powiem mu wszystko i zapytam o radę, co On każe, to zrobię...

Ks. Anzelm roześmiał się szyderczo.

— Owszem, owszem, idź do Rzymu, pytaj mój synu o radę, tam właśnie ci ją udzielą ostatecznie. Tam, gdzie koncentruje się potęga katolicyzmu, tam ci powiedzą, gdzie szukać pociechy, tam ci wskażą, że cisza tylko u stóp krzyża, w domu Bożym, w celi zakonnika mieszka i ztamtąd jak biała lilia wykwita na świat, aby go karmić mistycznem mlekiem i upajać wonią. Idź, dziecię, do Rzymu!

I ks. Anzelm pełen majestatu odwrócił swą potężną figurę, ujął Hiacynta pod ramię i niespoglądając więcej na młodzieńca, począł schodzić z niewygodnych schodów wieżycy. Na zakręcie zdawało mu się, że w mroku widzi jakąś postać ludzką, lecz to tylko złudzenie, bo ciemna przestrzeń była pustą.

Juliusz pozostał sam ze swoją świadomością: w krótkiej rozmowie potargano mu nieostrożnie to, co dotąd uważał za święte, rozwiano jego marzenia i rzucono mu na barki ciężar odpowiedzialności, której nie przyjmował. A więc jest niewolnikiem, kupiono go sobie i wychowano jak w starożytności kupowano i wychowywano skoczków, sztukmistrzów, rzemieślników — uzdalniając do przyszłej pracy. I w imię to jakich intere-

sów: w imię Boga?! Ależ ci sami ludzie mówili z lekceważeniem o tych interesach, zapewniali go że „rozsądniej” jest skoro dbać będzie o władzę, bogactwo i dostojeństwa, których matką kościół. Jakaś intuicya szeptała mu do ucha to, czego nie dopowiedzieli ojcowie. Przypomniał sobie dokładnie jak ks. Paweł niechętnem zbył go milczeniem, gdy dopytywał się o cud w Słomianach; stanęły mu w pamięci gdzieś po drodze zasłyszane wyrazy wątpliwości, szydercze rozmowy D ra Hunda z Kotkiem i nieostrożne traktowanie całej tej kwestyi przez zakonników. Nie ulegało wątpliwości, że na dnie kryła się tu tajemnica, której Juliusz badać nawet nie śmiał. Tajemnica ta jednak stała tuż przy nim, ogarniała go i dręczyła jak zmora.

Młody kleryk, chcąc odpędzić męczące myśli, ukląkł, oparł gorące czoło o zimną sztabę poręczy, okalającej ganek wieży i począł się modlić... Najprzód modlił się w uniesieniu z samowiedzą, potem obrazy stawały się coraz mglistsze, wymawiane słowa coraz mniej rozumiał... szumiało mu w głowie i nareszcie padł zemdlony.

Nie mógłby określić jak długo przebywał w tym stanie, ale skoro oczy otworzył, miał głowę złożoną na kolanach jakiegoś starego jegomościa

w habicie. Przeląkł się czy to nie jest ksiądz Anzelm lub Hiacynt—na szczęście—nie, był to O. Rafael. Znał go dobrze, często z nim herboryzował po polach i lasach, przysłuchując się jego opowiadaniom o roślinach i drzewach, jego naukom o naturze. Zdawał mu się być dobrym, ale jakimś dzikim i skrytym, a widok młodej kobiety lub dziecka przy piersi, był mu tak wstrętnym, że zwykle uciekał przed niemi i krył się w gęstwinę leśną albo w swej pracowni, którą z katakumb przerobił na obszerne muzeum i fizyczno chemiczne laboratoryum. Tam wśród książek, retort, zielników—najmilej mu upływało życie w odosobnieniu.

Zkąd się tu na tej wysokiej wieży wziął O. Rafael, Juliusz nigdy się nie dowiedział. Zakonnik potarł jakimś płynem młodzieńcowi skroń i zrobiło mu się lepiej.

— Pójdź do mnie—rzekł wtedy O. Rafael, podpierając chwiejne kroki Juliusza. Na dole brzęczało jak w ulu pszczół: lud jeszcze śpiewał przy kaplicy, chociaż powoli zaczął się już rozchodzić, za to koło karczmy, zbite gęste masy falowały jak wzburzone morze. Stała ona jasna od rozpalonych naokoło ognisk, koło których biwakowały gromady. Wódkę roznoszono w blasza-

nych naczyniach, a kilku żydowskich posługaczy, nie mogło nadążyć z nalewaniem. — O. Rafael z Juliuszem zeszli po ciemnych schodach aż do katakumb i młodzieniec po chwili ujrzał się w obszernej pracowni uczonego pustelnika. Okna były zasłonięte ciemnemi sztorami, a na środku paliła się przyćmiona lampa. — Ojciec Rafael podniósł płomień, który oświetlił najdziwaczniejszy, jaki tylko wymarzyć było można, widok laboratoryum nowożytnego uczonego. Juliusz zdziwionym wzrokiem spoglądał na nieznane sobie przedmioty i nagromadzone naukowe skarby. Na kominku skomunikowanym z piecem chemicznym, palił się ogień ciepły, ożywczy i wesoły. O. Rafael siadł w głębokim fotelu przed kominem i wskazał Juliuszowi maleńki, prawie u nóg swoich taboret.

— Siadaj i wypocznij, ale najprzód napij się czegoś ciepłego.

Z maszynki podobnej do chemicznego aparatu, grzejącej się u ognia, nalał w filiżankę jakiegoś płynu ciemnego i podał ją Juliuszowi.

— Nie lękaj się, nie jest to żaden dekokt dyabelski, ale czarna kawa, którą się orzeźwiam, gdy praca wyczerpie sprężystość moich nerwów. Jest to jedyna jeszcze namiętność, jaka mi została ze światowych nałogów.

Juliusz czuł przyjemne, ożywcze ciepło i pod jego wpływami wracał do równowagi. Wzrok jego atoli ciągle jeszcze ze zdziwieniem błądził po przedmiotach nagromadzonych w pracowni.

— Hę, rzekł z uśmiechem O. Rafael, jesteś zdziwiony tem co widzisz. Nie zła prochownia wiedzy pod gmachem cudów i obskurantyzmu? To ich wysadza w powietrze. Z każdej retorty, z każdego zielnika, z pod szkła każdego mikroskopu, leją się promienie nauki rozjaśniające ciemności. Wobec tych promieni ulecą puchacze, które zamieszkują tylko ciemne gmachy.

Juliusz zdawał się niepojmować mowy staruszka.

— Byłem obecny i wysłuchałem całej waszej rozprawy z Gwardyanem. Twoja młodość broniła cię dzielnie — ale już jesteś zgubiony tak jak ryba, co połknie haczyk wędki zdradliwej. Wlecze ona za sobą sznurek, a gdy się ten nawet zerwie, to żelazo śmierć jej w głębinach przynosi.

Juliusz chwycił się za głowę, jak gdyby poczuł spadający nazad ciężar, którym go ks. Anzelm do ziemi przytłoczył.

— Nie chcę żyć w tym klasztorze, nie chcę umierać zdala od świata, pragnę pracować.

— Hm, mruknął O. Rafael, wcześnie się to u ciebie budzi, daleko wcześniej niż u mnie. Pochodzi to zapewne ztąd, żeś ty się wychował bądź co bądź na swobodzie, a ja w zamknięciu — ty wśród towarzyszy szkolnych, wśród pól i życia domowego, a ja w odosobnionym internacie, wśród wielkiego miasta i w szczupłem gronie, ściśle zamkniętej przez ojców młodzieży.

O. Rafael poprawił się na fotelu układając wygodnie, jakby pod wpływem własnych słów, zabierał się do dłuższego opowiadania. Juliusz patrzył nań uważnie i przychylnie.

— Dobrze, wiem co mówi twój wzrok, chcesz bym ci powiedział kim jestem. Dobrze, raz jeszcze wypiję ten kielich goryczy, a może odkupi twoją młodą duszę od zaprzepaszczenia w otchłani. Straszne to dzieje, straszne a ostrze ich do dziś dnia nie stępiało jeszcze. Ryzykuję bezpieczeństwo mojej siwej głowy, ale mniejsza o to, cóż po starem życiu, jeśli ono młode ma uratować. — Słuchaj!

— Pochodzę z magnackiej rodziny a urodziłem się w tym czasie, kiedy polityką wielkich rodów naszych było, mieć w Kościele swych członków. Familijne stosunki i majątek zapewniały młodemu księdzu szybko promocyę a pastorał i bisku-

pia infuła udzielały rodzinie wpływu i blasku albo nawet i stanowiły materyalną podporę w mocno zaszarganych interesach.—Mianowicie liczniejsze rodziny chętnie przeznaczały jednego z chłopców do stanu duchownego, wcześnie myśląc o stoso wnem jego wychowaniu, aby urobić ludzką naturę do czekających przeznaczeń. — Ja byłem właśnie jako jeden z młodszych synów takiem ofiarowanem dziecięciem, przeznaczonem na księdza-biskupa, bo o niższym stopniu familia moja myśleć nawet nie chciała. W ósmym roku życia, matka zawiozła mię do Paryża i tam umieściła na jednej z duchownych pensyj, pod opieką polskiego księdza wychodźcy, abym w otoczeniu francuzkiem niezupełnie zapomniał potrzebnego mi ojczystego języka. — Wkrótce matka moja umarła, a ojciec opłacając regularnie pensyonat i dowiadując się o moich postępach w naukach — o więcej się zresztą nie troszczył. — Jakkolwiek bardzo przezornie urządzono moje wychowanie, jakkolwiek skierowane ono było do zabicia we mnie wszystkiego, coby przeszkadzało karyerze duchownej, jakkolwiek odosobnienie i ograniczenie do stosunków zamkniętego pensyonatu, długo utrzymywało mnie w stanie dzieciństwa, to jednakowoż jest to najmilsza epoka mego życia.

Umileniem mej samotności był mój przewodnik, ksiądz Jan. Gdyby rodzina moja lepiej znała tego człowieka, niebyłaby mu z pewnością powierzyła funkcyi nadzorcy.—Ksiądz Jan był pijarem i wysoko wykształconym człowiekiem, któremu wypadki krajowe niepozwoliły osiągnąć znakomitych celów, do których niewątpliwie był przeznaczony. Znalazłszy się na obczyznie, oddał się z zapałem naukom przyrodniczym, a wrodzony mu popęd swojskości przejawiał w zamiłowaniu literatury ojczystej. — Ksiądz Jan był mojem ukojeniem, pociechą gdy po nudnych dla mnie i ogólnych lekcyach pensyonatu, znalazłem się w jego towarzystwie, na dwugodzinnej pogadance, abym niezapomniał po polsku. — Kraj nasz, który mi zaledwo majaczył przed oczyma mojego dzieciństwa, historya, piśmiennictwo, mianowicie przemijającej epoki klasycyzmu, były najpierwszym przedmiotem rozmów — drugim natura i wiadomości odnoszące się do niej, wiadomości zyskujące na uroku, bo ożywione ozdobnem i ciepłem opowiadaniem nauczyciela. — Rzecz dziwna, na dzieci najwięcej zawsze oddziaływa otoczenie — ja wśród Francyi i murów Paryża, w towarzystwie francuzów i przy naukach z tendencyą teologiczną, największego doznawałem oddziaływania od tego, czegom pra-

wie dotąd nie widział memi dziecinnemi oczyma: natura, z którą się nigdy niestykałem i ziemia ojczysta o parę setek mil odległa, oto dwa pierwiastki, które stały się częścią mojej natury. Ksiądz Jan rzadko mógł wziąść mię na dłuższą po za Paryżem wycieczkę, a przechadzki w gronie współtowarzyszów, ograniczały się do tłumnych bulwarów, które tylko szczery wstręt we mnie budziły. Tymczasem kraj rodzinny wstawał przed memi oczyma odziany najpiękniejszemi szaty przyrody, zaludniony przez poetów, zamieszkany przez uczciwą dzielną szlachtę i lud pracowity, krzątający się pilnie koło roli i modlący w wiejskich kościołkach pod przewodnictwem cnotliwego duchowieństwa. W takich przekonaniach i uczuciach, przeszedłem seminaryum i jako członek wielkiego rodu, otrzymałem święcenia w Rzymie. Cała moja familia, wszystkie wielkoświatowe ciotki zjechali na tę uroczystości i ja po raz pierwszy dopiero w życiu, stałem się przedmiotem troskliwości i życzliwości moich najbliższych.—Wreszcie, ponieważ na świecie wszystko się musi kończyć, skończyły się przeto i uroczystości święcenia i ja wróciłem dla wypoczynku, najprzód do rodzicielskiego domu — a w parę miesięcy otrzymałem miejsce wikaryusza w jednej obszernej pa-

rafij, położonej w tej samej dyecezyi, w której rodzina moja posiadała dość jeszcze obszerne dobra. — Miał to być pierwszy etap w mym zawodzie kapłańskim — skoro się obznajmię z ludem i położeniem, otrzymam probostwo, aby przejść do konsystorza, zkąd już przy wpływach i stosunkach, łatwa do karyery sposobność. Ale los chciał inaczej — pierwszy mój wikaryat miał też być i ostatnim posterunkiem kapłańskim....

Parafia, w której rozpocząłem praktykę, składała się z kilku wsi rozrzuconych wśród obszernych lasów; duża wieś z kościołem w pośrodku, stanowiła rodzaj metropolii, a proboszcz był tu główną figurą, gdyż nawet rządca tej magnackiej majętności, mieszkał o parę mil dalej. Proboszcz miał do obsługi dwóch wikaryuszów, a sam ciągnąc znakomite zyski w obszernej parafii, siedział w obszernej, niż dwór plebanii. Był to średnich lat mężczyzna, silny i krewki, z brutalnemi narowami pół cywilizowanego człowieka, nieprzywykłego ograniczać się, dbałego jedynie o zachowanie jak najbardziej zresztą przezroczego decorum. Biada młodzieńcowi, który dostanie się w towarzystwo podobnego opiekuna. Młody człowiek wykarmiony w seminaryum idylicznemi złudzeniami, musi się tu złamać z całą prozą życia. Mój

towarzysz, syn włościanina, wykształceniem, wyobrażeniami był sobowtórem proboszcza i nieczuł grozy swego położenia. Porządki na plebanii były pierwotne — proboszcz zadawalał się towarzystwem gospodyni,. kreowanej przed laty z prostej dziewki folwarcznej, a mój kolega, wikaryusz, nieokazywał się zmartwionym, podobną kompanią. — Jeżeli kto z obcych przyjechał, grano po całych wieczorach w karty albo obmawiano w najordynarniejszy sposób sąsiadów, a mianowicie współbraci po sutannie. Dochody każdego, jego nadużycia i sprawki, pożycie—wywoływały ostre dosadne określenia, które mię przejmowały zgrozą lub wstydem. Obaj moi towarzysze odgadli na pierwszy rzut oka, tego samego dnia, którego zjechałem do wsi — kim jestem i obaj zaczęli mi od początku okazywać pogardę i nieufność. Zbyt byłem młody, zbyt naiwny, abym im mógł podobną płacić monetą, tym nie mniej unikałem ich towarzystwa, czując iż jestem niepotrzebnym i zawdzięczającym świadkiem. — Ja byłem człowiekiem z innego świata, sfera moich wyobrażań, aspiracyj była zupełnie inna i całe moje jestestwo w inną ciągnęło mię stronę. To też jak tylko skończyłem moje obowiązkowe czynności codzienne, brałem książkę, kromkę chleba, manierkę

z trochą czerwonego wina, puszkę na owady i rośliny — i jak student wypuszczony ze szkoły, zagłębiałem się w otaczające lasy. Zaszczepiona we mnie przez ks. Jana miłość natury ożyła, a wrodzony popęd i zdolność w tej pracy sprawiły, iż wnet zapoznałem się praktycznie ze światem roślinnym i zwierzęcym, który mi chętnie roztworzył swe tajniki. Na świecie była polska wiosna, nachylająca się już ku latu—czas piękny, wspaniały urokiem młodości, w pełni swej siły i krasy.—Ach wiosno, ty wiosno, czarownico, kolebko mego szczęścia i grobie mego życia. —

Jednego dnia herboryzując w lesie, spotkałem podżyłego strzelca z ślicznem dziewczęciem u boku. Na pierwszy rzut oka można było odgadnąć, że jest to ojciec i córka; tylko co u strzelca było krasą męzką, u dziewczyny nabrało miękkości i niewieściego wdzięku.—Przepyszne złote sploty spadały na ramiona w dwóch grubych warkoczach, w które zalotnie wpleciono niebieskie wstążki. Oczy koloru naszego siwego nieba, przejrzyste, zdolne były oddać całą głębię uczuć poruszających tem niewieściem sercem. Cóż ci będę opisywał młodzieńcze obraz, który mi dziś zmęczonemu życiem starcowi jeszcze stoi przed oczyma!—sam go sobie w myśli uzupełnij, jeśli w twej

przeszłości masz jakie miłe wspomnienie. Ja byłem wychowany od dzieciństwa zdala od kobiet, tak mało dotąd zwracałem na nie uwagi; w dziecku i wyrostku spały wszystkie popędy i żądze. W kościele stykałem się tylko z wiejskiemi bębnami i dziewczętami, których gruba zewnętrzność odpychająco oddziaływała na mnie. O plebanii nie chcę nawet wspominać, sama myśl o tem rzucała mi rumieniec wstydu na czoło. Młodzieńcze, jest to rana naszego kościoła, który w tym punkcie stoi w sprzeczności z naturą. Ksiądz, człowiek inteligentny, nie tworzy ciepłego ogniska familijnego, nie zna co to jest szlachetna ze swojimi rozmowa, co podział radości i smutków — ale żyje albo w odosobnieniu, albo w towarzystwie i związkach z tak nisko umysłowo i socyalnie położonemi... Czy do serca ludzkiego w takim stanie nie wedrze się egoizm, czy tam nie wpełznie chciwość, czy tam mogą się przechować nienaruszonemi święte uczucia miłości rodziny, społeczeństwa, ludzkości? Czy źródło wiary, pobożność nie zejdzie do mechanicznego nawyknienia, gorzej—do obłudy w odprawianiu obrządków dla formy bez ducha?... Ale między przeżytemi warstwami społecznemi, jest to jedno z najbardziej zacofanych stanowisk, powiedziałbym,

kulą u nóg ludzkości, niedopuszczająca szybszego ruchu. W obec spotkanych strzelca i dziewczęcia w lesie, nie oddawałem się tym rozmyślaniom i nie robiłem tych uwag. Widok przechodzących pochłonął moję istność, stanąłem bezwiednie jak wryty i zbudziłem się dopiero, gdy mężczyzna grzecznie mi się jako księdzu ukłonił — odkłoniłem i zapytałem o drogę. —

Bodajbym był tego nigdy raczej nie czynił... Pytanie, proste pytanie o drogę było wędką, na którą złowił się mój los nieszczęsny. Strzelec, a był to leśniczy miejscowy, odpowiedział grzecznie, wskazał drogę, tę samą drogę, którą szedł z córką. Ztąd zawiązała się rozmowa, ztąd poszła nasza znajomość, gdyż leśniczy, skoro przechodziliśmy koło jego zagrody, zaprosił mię do siebie. Należał do naszej parafii, miałżem być tak niedelikatny i odmówić grzeczności, która mu widoczną robiła przyjemność. Znał mię już i zapewne musiał słyszeć jakieś dobre słowo na moją korzyść, bo okazywał mi szacunek i względy. Był to człowiek prosty ale bardzo zacny i względnie zamożny, bo rządny. Córka, Ludwika, ukończyła jakąś dobrą szkołę prowincyonalną, z której wyniosła zamiłowanie do czytania; książek miała niewiele, ale jakimś dziwnym trafem dobre

to były dzieła, te same, które czytywałem z mym drogim nauczycielem ks. Janem, te same, z których nauczyłem się kochać kraj mój daleki.... Książki te były pierwszem ogniwem, które związało dwie dusze nasze. Ludwika miała przesadne wyobrażenie o sukni kapłańskiej. Księdza uważała za istotę jakąś wyższą a przedewszystkiem niedostępną rzeczom ziemskim. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z osobą ubraną w czarną sutannę. Po godzinie gawędki przekonała się, że znam i rozumiem to wszystko, co jej było ukochanem. Ująłem tem córkę i ojca. — W próg tego domu wszedłem obcy, opuszczałem go przyjacielem rodziny! Niestety, człowiek nigdy nie może przewidzieć, jak drobne wypadki staną się niby maleńka śnieżynka, zawiązkiem lawiny która spadając, grzebie go w zimnym całunie.

Nie będę odnawiał rozkoszy i bolów jakie przechodziłem w tej epoce mego życia. Szło to wszystko tak niepostrzeżenie, nieszczęście czychało na nas tak zdradziecko a nie było żadnej ręki, którąby je odwróciła. Ojciec pełen ufności, zajęty służbą w dalszych okolicach, dziewczyna sama i ja herboryzujący. — Gdyśmy się z uniesień opamiętali, droga już była bezpowrotnie zamkniętą... jak w Dantejskiem piekle widniał napis: rozpacz

i hańba. Ludwika miała zostać matką. Nie powiedzieliśmy sobie ani słowa, ale instynkt nas ostrzegł, że to ukryć trzeba przed okiem ludzkiem. Zawsze to tak bywa, że najbliżsi najmniej wiedzą i najpóźniej się dowiadują — stary więc leśniczy nie podejrzywał nienormalnego stanu swej córki. Inne to widziały oczy!

Była to noc lutowa... śnieg wilgotny walił płatami.... odchyliło się cicho okno sypialni i blada jak trup Ludwika podała mi zawiniątko... Było ciepłe... może się nawet coś w niem poruszało jeszcze.... Pobiegłem jak szalony w głąb lasu... zdawało mi się żem tak biegł wieczność.... Zatrzymałem się nareszcie na jakiejś polance, odgarnąłem śnieg, mchy zmarzłe, wyryłem przyniesionym nożem jamę i tam zakopałem mój straszny pakunek.

Ojciec Rafael zakrył twarz rękoma i łzy grube przeciekały mu przez palce. Po niejakiej chwili starzec przyszedł do siebie, potrząsnął głową łagodnie i mówił dalej z rezygnacyą.

— Uporządkowałem polankę jak mogłem i zdawało mi się, że padające płaty śniegu zatrą wszelkie ślady dla oka ludzkiego. Dniało, gdym wrócił na plebanię i wślizgnąłem się do mego pokoiku. Trzecia to już była noc z rzędu jak czuwałem

i odbywałem wycieczki na leśniczówkę. Wyczerpałem przez to moje siły, niezahartowane wychowaniem, choroba pochwyciła mię w swoje szpony i gdym się ocucił, ujrzałem się w celi szpitala waryatów. Po paru tygodniach, gdym przyszedł nieco do zdrowia, powiedziano mi całą prawdę... Tylko przemożnym wpływom mojej rodziny zawdzięczać mogłem, żem teraz nie stał przed kratkami sądu, przed któremi postawiono Ludwikę. Nieszczęśliwa — nikt nie osłodził ani jej hańby, ani jej losu! — nikt nie oddalił kielicha boleści, który sama wypiła. Nietylko że zatarto w naszej zbrodni mój udział, ale biedną egzaltowaną skło niono do fałszywych zeznań i przyjęcia całej wi ny na siebie. Ona mogła się poświęcić, jej nazwisko mogło figurować na liście zbrodniarek skaza nych na zamknięcie w więzieniu, ale moje nazwisko musiało być czyste, mój herb niepokalany. — Dla mnie jedynie cela miała być chwilowem więzieniem i to tylko dla tego, abym w poczuciu słuszności sam się nie skompromitował i nie przyznał do winy. Gdym po dwóch latach opuścił mury mego schronienia, wszystko już było skończone: Ludwika już nie żyła, jej stary ojciec gdzieś się zawieruszył, straciwszy za wpływem mojej rodziny posadę. Byłem tem wszystkiem tak ogłu-

— Czy tylko ludzie wysłani do przerwania grobli, na pewno sprawią się dobrze?

— Szloma wysłał najbardziej zaufanych.

— Ach, jak czas wolno biegnie — szepnęła na pół do siebie Ernestyna, myślałam że z większym pokojem będę się przypatrywać temu wszystkiemu,

— Hm, zauważył Brobek, byleby się to tylko nie wydało, bo z nami może być źle...

— Głupstwo, czy niemamy pieniędzy, aby się ze wszystkiego wywinąć: możnaż było dopuścić, aby „ona" tryumfowała... czy wiesz, że Witold odrzuca rękę twej córki?! Wczoraj jeszcze powiedział to stanowczo Stefanowi; zostaje w Lipiu, aby wypełnić plany tego szalonego Kality. Ubywa nam więc jedna jedyna siła, zdolna do ładu przyprowadzić interesa Słomian.

Brobek machnął ręką.

— Ech! nie on, to ja to zrobię...

— Mości Brobek, na te rzeczy jesteś już za stary i za mało umiesz. Zresztą, wyobraź sobie twoją córkę, hrabiną Saryuszową.

— Leosia i tak zostanie hrabiną...

— A to jak?

— Jużci jeśli nie Saryuszową, to Wysokopolską.

Kobieta zmarszczyła brwi...

— A Zaosie... czyż nie wstyd, żeby takiemu staremu człowiekowi ten młokos pokazał figę.

Ręką wskazała w stronę fabryki, która jak latarnia świeciła na tle ciemnego krajobrazu.

— O, gdyby nie Zaosie, nie przykładałbym do tego ręki...

W tej chwili odezwał się gwałtownie dzwon kościelny w klasztorze. Ponure te dźwięki śród nocy płynąc nad okolicą były zwiastunami nieszczęścia. Tak je też każdy pojmował... Ludność zgromadzona w obozowisku przy karczmie, stanęła jak wryta... Co to jest? co się stało... biegł szept od ust do ust... Również zbudzono się i w klasztorze, w oknach poczęły błyskać światełka... wreszcie, otwarła się brama i ks. Hyacynt z kilku młodymi zakonnikami, wybiegł na drogę ku karczmie. Rzucił się lud na jego spotkanie... Przed samą karczmą prawie, zatrzymał się ojciec kaznodzieja wśród najgęstszej masy na pół pijanego chłopstwa.

— Nieszczęście! nieszczęście! zawołał mówca szeroko rozstawiając ręce nad głową... nieszczęście! Zawsze przepowiadałem, że lucyper pozazdrości nam łaski Bożej, jaka się tu widocznie objawiła nad nami. — Tak się też i stało! Posłuchajcie

tylko, pobożni ludzie. Czy widzicie tę przeklętą fabrykę, to gniazdo bezbożności i szatana!? Wytrzeszczył ztamtąd lucyper jasne ślepie swoje i bucha ogniem piekielnym.

Istotnie, w tej chwili słup iskier wybuchnął z fabrycznego komina... rozleciały się one, jak złote pszczoły... i spadały deszczem ognistym. Fabryka oddychała tym żarem a tymczasem na łąkach okalających z drugiej strony klasztor, poczęło coś klekotać, jakby szmer buszującej wody...

— A co, czy słyszycie teraz — wołał O. Hyacynt — cy słyszycie... to kroki zdradliwego szatana. Widzi pan piekła, jak serca ludzkie garną się do Boga za łaską naszego klasztoru, widzi jak dusze uciekają z sieci dyabelskich do Najświętszej Panienki i w przerażeniu swojem, nie wie co robić... Postanowił więc, jeśli nie siarczystszym ogniem, to wodą nas zgubić. — Oto dano znać do klasztoru, że z fabryki za podszeptem szatana, przerwano grobelkę, aby tym sposobem zalać święte łąki klasztorne, aby tym sposobem zniszczyć zakon, zniszczyć miejsce ku czci Bogu i Jego Matki świeżo wzniesione... A nikt temu nie winien tylko fabryka, to gniazdo bezbożników i obrazy Bożej. Czy mimo odpustu — zaprzestano tam roboty, czy nie płoną tam wiecznie

ogniska, nie kują młoty... Nie hańbaż to? Czy ojcowie nasi znali fabryki, a nieżyli szczęśliwsi i pobożni... O Panie, kiedyż wyczerpnie się Twe miłosierdzie i kiedyż miecz sprawiedliwego gniewu Twego spuścisz na karki grzeszne, kiedyż zagasną ogniska szatańskie, kiedyż zrównanem z ziemią będzie gniazdo Twego wroga?!

Ksiądz przestał, ludzie się kupili i cisnęli koło niego, nie wiedząc co odpowiedzieć i co począć. Zatrute wódką oddechy, podnosiły westchnienia, kobiety poczęły płakać, klękać i bić się w piersi... ale tłum falował niepewny...

Tymczasem na gościńcu zaturkotała bryczka: była to jednokonna biedka a w niej dwaj żydzi, z których jeden powoził a drugi był starcem o poważnem obliczu, długiej siwej brodzie. Woźnica żydowski zapewne niewprawny w swem rzemiośle i niewiedzący, co się koło niego dzieje, tak szybko wpadł na zgromadzony tłum, że zaledwie ten i ów, zdołał się usunąć...

— Gdzie, gdzie żydzie jedziesz?! zawołało kilku poblizkich włościan, wstrzymując konia.

— Gdzie mam jechać, odparł woźnica — z kupcem Lewkiem do fabryki...

— A widzisz go, do fabryki, bestya... może to dyabeł przedzierzgnięty w żyda...?

Ta uwaga padła w tłum mową O. Hyacynta rozgrzany; za chwilę pijani chłopi byli pewni, że mają dyabła obleczonego w skórę żyda.

— Łapaj, trzymaj, bij! — rozległo się w tłumie. Tymczasem woźnica żydowski prestraszony, nagle zawrócił i popędził odwrotną drogą, która stanowiła szosowy dojazd do fabryki w Zaosiu. Chłopi, widząc uciekającego żyda, puścili się w pogoń za jego biedką. Ten i ów porwał to bat, to kij, to kłonnicę lub nawet siekierę z woza i ruszano z kobietami i dziećmi do fabryki — jedna część za uciekającą biedą z żydami, druga bliższą drogą przez jar.

W biedce jechał dobry nasz znajomy, Lewek, bankier i ajent Maryni Kościeleckiej; starzec rześki jeszcze i czynny, puścił się w podróż do swoich wnuków, którzy mieli duży handel bławatny w miasteczku powiatowem, niezbyt odległem od Lipia. Korzystając z tej okazyi, otrzymał od Maryni polecenie podniesienia sumy pożyczonej Skalskiemu, który zdołał już zgromadzić odpowiednie fundusze. — Ratunek, jaki tak niespodziewanie przyniosła fabryce Marynia, okazał się skutecznym, zakład bowiem stał już na tej drodze, iż potrzebował tylko paru miesięcy czasu, aby utrwalił samoistną swą egzystencyę. — Kontrakta

Sto-Jańskie okazały się dla fabryki nadzwyczaj
korzystnemi, zamówienia były tak ogromne, iż
Julek musiał pomnożyć liczbę robotników i pra
cować dzień i noc, aby im podołać; gotówka gro·
madziła się szybko w jego ręku, a ponieważ po
zapłaceniu przez Marynię weksli, fabryka nie
miała innych długów i była już teraz produktem
dorobkowym, Julek znalazł się na najlepszej
drodze. Pierwszą rzeczą było zawiadomić Mary-
nię, iż pożyczone z narosłemi procentami pienią
dze, są do jej dyspozycyi. Skalski podziękowa
nia swoje zamknął w kilku prostych ale gorących
słowach, natomiast matka Skalska na ogromnym
arkuszu niebieskiego papieru, wielkiemi literami
wypisała całą litanię błogosławieństw dla pięk
nej dziewczyny. Można tam było w tym liście
znaleźć rzeczy śmieszne, ale ich naiwność i szcze·
rość była wzruszającą. — Marynia odpisała, iż
korzystając z bytności Lewka w tamtych stro·
nach poleciła mu podniesienie należnej sobie su
my. — Wypełniając to polecenie, starzec wybrał
się z miasteczka najętym furmanem do Zaosia
i nieszczęśliwym wypadkiem natknął w Słomia-
nach na tłum sfanatyzowany przez O. Hyacynta.—
Obaj żydzi instynktownie przeczuli grożące im
niebezpieczeństwo, woźnica zacinał biczykiem

swoją zbiedzoną szkapkę, która pędziła tak szybko na ile pozwalały jej siły i błotnisty grunt drogi. Atoli szybkość ta nie była wystarczającą i tłum tuż, tuż następował na bryczulkę. Ten i ów ze ścigających, podejmował kamienie z drogi i rzucał je silną dłonią w ściganych. Fabryka na końcu drogi rysowała się jak ognisty pałac Lucypera, pałający ogniem, warczący turkotem walców i ciężkim oddechem miechów. Julek obchodził właśnie warsztaty, dyrygując zmianą robotników, z których jedni udawali się na spoczynek, a drudzy ze świeżemi siłami przychodzili do pracy. — Partya ludu, do której z ciekawości przyłączył się także Juliusz, biegnąca krótszą drogą przez jar, stanęła prędzej na miejscu przeznaczenia niż ścigani żydzi i ścigający chłopi. — Z wielkim krzykiem wpadli ludzie na dziedziniec fabryczny i w mgnieniu oka wytłuczono kamieniami wszystkie okna pałającego światłem budynku. Hałas tłuczonych szyb, wrzaski różnorodnych głosów, zdawały się upajać wściekły tłum, który krzyczał: bij dyabła! zniszczmy dyabelskie gniazdo! Na tak piekielny iście alarm, wybiegł Julek z gromadą zdziwionych i przerażonych robotników... Uformowały się dwie grupy, stojące groźnie naprzeciwko siebie.

— Czego chcecie? — zapytał grzmiącym głosem Julek, — pojąwszy całą grozę położenia.

— Oddaj nam żyda, oddaj nam dyabła!

Na to żądanie, młody człewiek nie był przygotowany a nawet nie wiedząc co zaszło na drodze Słomiańskiej, zupełnie go niezrozumiał. Czasu do wyjaśnienia atoli nie było. Czyjąś — czyją nigdy się nie dowiedziano, — ręką zbrodniczą podłożony ogień na strychu fabryki, wydostał się teraz wielką strugą i oświetlił cały plac krwawą, złowrogą łuną. — Jednocześnie całym pędem, na jaki tylko starczyły, siły biednego zwierzęcia, wpadła bida z woźnicą i starym Lewkiem. Za nim wtłoczył się nowy tłum wieśniaków, zjajany pościgiem, wściekły, szalony, zbłocony.

— Jest żyd!

— Jest dyabeł! Zagrzmiało w tłumie i nim starzec mógł się opamiętać, już czyjaś ciężka pałka spadła mu na zgarbione plecy... Było to hasło dla ślepego tłumu... Lewek wyskoczył z wózka i ogłuszony razami zatoczył się pod nogi Julka, w tej chwili błysnęła siekiera w dłoni któregoś napastnika, ale między zadającym cios i mordowaną ofiarą stanął anioł....

Tak anioł o czerwonej, ospowatej twarzy, z potężnym nosem i siwemi od wiatru rozwianemi

włosami. Machał on wielką czerwoną kraciastą chustką, jakby nią chciał tłum odpędzić i rzeczywiście tłum cofał się przed tą chustką i przed tym aniołem, w długą kapłańską ubranym suknię.

Był to ks. Paweł, proboszcz z Lipia. Jego poczciwe, wszystkim tak dobrze znane i od wszystkich ukochane oblicze, wyrażało wielkie przerażenie, a z niebieskich jasnych oczu płynęły łzy... załamał ręce i ciałem swem zasłaniał leżącego w omdleniu żydka.

— Wy chrześcianie? wy, moi parafianie, napadacie bezbronnego, jednego, wy jak najgorsze zbóje mordujecie i palicie? O! Boże miłosierny, coś na krzyżu za ludzi skonał, bądź im miłosierny, bo ci ludzie obrażając Cię ciężko, nie wiedzą sami co czynią.

Widok ukochanego kapłana, który znany był każdemu, od którego otrzymał każdy z tych ludzi dowód jakiegoś dobrodziejstwa: ten pomoc religijną, inny materyalną, a inny jeszcze radę lub lekarstwo, widok tego, który chrzcił ich dzieci, grzebał rodziców, odpuszczał im grzechy a zawsze był pocieszycielem i bezinteresownym doradcą, — widok ks. Pawła uspakajająco podziałał na tłum, który nareszcie spostrzegł co robi, jakiego

dopuszcza się gwałtu... Zresztą, alarm wszczęty zbudził niemal całą okolicę. Pożar fabryki, stojącej na wyniosłości, ściągnął wszystkich na miejsce wypadku. — Pierwszy przybiegł Witold Saryusz, osiadły już w dworze Lipińskim, jako zarządca nabytego przez ks. Kalitę majątku. Przyprowadził on z sobą parobków i sikawkę dworską.

Opadły pałki, zawstydzeni wieśniacy poczęli się cofać i wymykać na drogę, baby całowały ręce i kolana ks. Pawłowi, około którego stanął zaraz w pierwszej chwili Juliusz, aby nieść pomoc poranionemu żydowi. — Dobry probosz jeszcze przemawiał do ludu, uspakająo go i tłumacząc całą brzydotę czynu, rozkazując przytem rozejść się zgromadzonym wieśniakom. Tymczasem Julek z Witoldem na czele robotników i czeladzi dworskiej, rzucili się do ratunku fabryki od ognia. Stary lamusik, stanowiący jądro zakładu, okazał się godnym swej starożytnej sławy. Grube mury i polepy oparły się niszczącemu żywiołowi ognia, który tylko strawił jedną część dachu. W takich warunkach, nie było trudnem opanowanie niebezpieczeństwa. W kwadrans, płomienie przygasły i fabryka ocalała, świecąc tylko otworami po wybitych szybach," jako sym-

bolem zniszczenia, jakim zagroził fanatyzm temu ogniskowi pracy... Tym razem spisek klasztoru nie udał się, a nawet zwrócił przeciw świątobliwym ojcom, gdyż ks. Anzelm, nie chcąc rozmazywać sprawy, nieupominał się nigdy o zalanie łąk klasztornych. Lud przez całą noc gwarzył o zaszłych wypadkach, popijając u Szlomy, który umiał ze wszystkiego wyciągnąć właściwą korzyść. — Przy kieliszku, starszyzna opowiadała o zjawieniu się ks. Pawła, któremu organista dał znać o pochodzie na fabrykę. Tym sposobem, dobry proboszcz uchronił ludzi od ambarasów, a fabrykę od zniszczenia. Znaleźli się teraz i stronnicy Skalskich, opowiadano sobie, jak oni tu dawno z dziada pradziada mieszkają, — jak to zacną i pracowitą jest pani Skalska i ile to zarobku daje fabryka, już to robotnikom, już chłopstwu przy odstawie wyrobów do kolei.... Wszyscy więc radzi byli ks. Pawłowi i dziwili się zkąd im przyszło do głowy, że prosty żyd mógł przemienić się w dyabła... Była atoli cząstka takich, którzy utrzymywali wytrwale, iż dyabeł wydostawszy się z żyda, uciekał na koniu z Zaosia w stronę Słomiańskiego pałacu...

Istotnie, kilku chłopów i bab, gotowych było przysiądz, iż wracająo od pożaru, na własne wi-

działo oczy cień czarny z długim ogonem, na olbrzymim pędzący koniu, któremu iskry sypały się z pod kopyt. Byli tacy, co utrzymywali, że to hrabina ze Słomian, ale już temu nikt nie dawał wiary.

* *
*

Ksiądz Paweł z Juliuszem, zajęli się energicznie ratowaniem ciężko poranionego Lewka. Przeniesiono starca do kancelaryi fabrycznej, posłano po doktora Hunda, a tymczasem poczciwy proboszcz z wprawą, świadczącą że wykonywał już nieraz czynności opatrunkowe, przemył i obwiązał rany nieszczęsnego żyda. Lewek zwolna przyszedł do przytomności, otworzył swe małe krwią zaszłe oczy i pytał co to wszystko znaczy, za co ci ludzie, którym nic złego nie zrobił tak okropnie go pobili. Ksiądz Paweł i Juliusz nieustawali w swych usiłowaniach. Młodzieniec jako naoczny świadek, objaśnił Lewka o tem co zaszło, wytłumaczył mu pomyłkę chłopów i pożar fabryki. Natomiast biedny starzec, słabym głosem opowiedział cel swej podróży. Zjawił się nareszcie Hund i zbadawszy stan chorego oświadczył wprost, iż niema żadnej nadziei utrzymania życia.

— O dwadzieścia lat młodszy jeszczeby takiej kaźni nie przeszedł bezkarnie, w siedemdziesiątym roku taki casus pociąga śmierć...

Żyd snać wyczytał te słowa, powiedziane po cichu do ks. Pawła, z miny doktora; patrzał jednak na życie jak filozof, do czego ludzi jego plemienia usposobiają nauki talmudyczne. Trzeba umierać, gdy się przejdzie siódmy krzyżyk, rzecz to konieczna i nieunikniona.

— Wielmożni państwo niech przed starym nie tają — rzekł uśmiechając się lekko; — całe życie pracowałem jak człowiek prawy i Bóg ojców moich okaże się dla mnie miłosiernym. Umrzeć jam w każdej gotowy chwili. Lecz mam jeszcze przed śmiercią kilka obowiązków do spełnienia...

Starzec uprosił ks. Pawła, że napisał po jego dyktowaniu list do rodziny. Był to wzruszający dokument, świadczący, iż i między żydami są umysły wysoce wykształcone i zacne charaktery, nawet na stanowiskach podrzędnych. Jest to powód wielkiej wytrzymałości i dzielności żydów, w tem leży ich odporna i postępowa siła. — Lewek zalecał gruntowną uczciwość, miłość dla rodzeństwa, solidarność z ogółem i pilnowanie zakonu. Rozporządzenia majątkowe były proste i jasne; mie-

nie żyda było większe, niż na pozór można było mniemać.

— Rozszerzyłem swe interesa i poprawiłem swój los, — mówił słabym głosem, — dzięki spółce z panną Maryą Kościelecką; użyty przez nią kredyt mój i kapitalik dobrze procentowały i niosły korzyści. Dziś kapitalik mój z tego interesu jest już zupełnie wycofany, byłem jednak głównym dostawcą mgazynu i miałem przyzwoitą za to prowizyę. Pragnąłbym 'gorąco, aby średni mój syn otrzymał to miejsce, będzie on uczciwie i gorliwie pracował.

W tym duchu Juliusz napisał żydowi drugi list do Maryni, list czuły i pełen szacunku. Wreszcie Lewek zapytał, czy pan Witold Saryusz jest tu obecny.

Witold istotnie znajdował się jeszcze w fabryce, chcąc się doczekać ranka szarzejącego na widnokręgr.—Zdziwił się, gdy mu objawiono prośbę żyda, lecz umierającemu nie można było odmawiać. — Skoro się znalazł u łoża poranionego i ciężko oddychającego Lewka, starzec wziął go za rękę, skinął, aby ich zostaw' ɔ samych i przemówił tak:

— Raz w życiu jużeśmy się widzieli, było to wtedy, gdy śmiertelnie obraziwszy tę, która cię

panie tak mocno kocha, uchodziłeś, zostawiając ją na łaskę losu i łup rozpaczy. Wtedy złorzeczyłem ci, boś panie postąpił gwałtownie i pysznie! — Dziś, wierzaj każdemu słowu memu, bo mówię w godzinie śmierci i kłamstwo nie skala ust moich. — Nie wiem, bo mi się nigdy z tem nie zwierzała panna Marya, co między wami zaszło i o co panu poszło, ale to wiem dobrze stanowczo, że krzywdzące słowa twe, panie, były niesprawiedliwe. Nigdy poczciwszej i rozumniejszej niewidziałem kobiety co panna Marya. Kiedym ją poznał, była biedniutka, ale była zręczna, pracowita i rzetelna.—Zarezykowałem mój kredyt i własny kapitalik, otworzyliśmy magazyn i przedsięwzięcie udało się pomyślnie. — Panna Marya pracowała za dwie — wkrótce podwoił się kapitał tak, że mogłem wycofać moje fundusze. Dziś jest ona samoistną panią swego zakładu. Oto jest rzeczywista prawda. Po odejściu pana biedna ta dziewczyna zapadła w długą rozpacz i w dłuższą chorobę, wśród majaczeń której słyszałem jak wymawiała nazwisko hr. Ernestyny... Ona to była głównym powodem jej zmartwień, pan powinieneś to zbadać a przedewszystkiem pełen ufności w cnotę swej narzeczonej, rzucić się jej do nóg i błagać o przebaczenie.

Nie truj jej życia, nie łam go... zrób ją szczęśliwą, ona na to zasługuje....

Stary żyd wyczerpany, upadł na poduszki...

W południe skonał i odwieziono ciało biednej ofiary fanatyzmu na pobliski kierkut.

Kiedy burza przechodzi — obala ona drzewa, dlatego tylko, że stoją na jej drodze... kiedy wzbiera burza namiętności—giną jednostki, ślepym trafem losu wskazane.

Smutne to!

EPILOG.

Dziesięć lat upłynęło od daty opisanych wypadków. — Letni, cichy wieczór roztaczał swe czary nad Lipiem. W całej okolicy, we wsi, w pałacyku dworskim—nic się na oko nie zmieniło, chociaż baczny a kompetentny spostrzegacz byłby dostrzegł ten wielki ład i porządek, będący rzeczywistej zamożności rezultatem. — Drogi i najdrobniejsze nawet ścieżki w dolinie były wyrównane i starannie utrzymane; gaje młodszych dębów, klonów i jaworów, szumiały po wierzchołkach przed tem nagich gór, świadcząc, iż była ręka co zadrzewiła ich łysiny. W miejscach zkąd się otwierały piękniejsze widoki, stały ławki z brzeziny lub darniowe dla wytchnienia używających przechadzki. Strumień szemrzący po dnie kamienistym, tu i owdzie wy-

tknięty był wierzbiną i olchą obsadzonemi grobelkami, a zgrabne, choć drewniane mostki, łączyły oba brzegi w jedną taśmę drogi równej i wesołej.—Po rozstajnych ścieżkach stały mocne żelazne słupy z napisami, wskazującemi, miejscowość gdzie w tym kierunku zdążyć było można. W południowej stronie doliny rozszerzającej się w piękne kwieciste łąki, droga prowadziła do „pasieki", przy której znajdowała się „miodosytnia", dostarczająca wybornych, wsławionych w okolicy miodów. Z drugiej strony rzeczki stały dwa młyny turbinowe, zużytkowujące także w górnych gankach siłę wiatru, należały one do stowarzyszenia młynarzy, tak jak pasieka była własnością pasieczników. Na czele takiej spółki stał młynarz i pasiecznik wykwalifikowany, rodzaj nauczyciela; młodzi zaś pracownicy skoro się uzdolnili w swym fachu, wychodzili albo na inne młyny, biorąc je w dzierżawę, w którym to celu dostawali zaliczkę w banku gminnym, albo też pracowali u majstrów, w bardziej oddalonych okolicach. — Po za młynami ciągnęła się droga w okręg stawów, które tu dopiero od sześciu lat zostały założone na mokradłach, dawniej nie przynoszących żadnej korzyści; teraz stawy te zarybione i administro-

wane przez rybaków na rzecz gminy całkowitej, pokrywały ze sprzedaży ryb wszystkie podatki, i jeszcze dawały fundusze na utrzymanie szkoły i ochrony. Oba te budynki mieściły się w samym środku rozległego Lipia i należały do najokazalszych budowli we wsi. — Cztery duże sale na dole, służyły na pomieszczenie dwóch oddziałów dla chłopców i tyluż dla dziewcząt; w dwóch mniejszych salach mieściła się ochrona dla maleńkich dzieci, oraz biblioteka gminna. Na pierwszem piętrze mieściły się piękne mieszkania dla dwóch nauczycieli (córka starszego była przełożoną ochrony), oraz sala robót dla dziewcząt, gdzie uczono je szyć igłą i na maszynie, tkać, pleść słomę, wyrabiać ręcznie dywaniki z wełny i tym podobnych prac, które się bardzo upowszechniły między kobietami w Lipiu i podczas zimy dawały im doskonałe zarobki. Skutkiem tego kobiety w Lipiu wychodziły teraz bardzo rzadko na robotę w pole, chyba tylko skoro tego, była gwałtowna potrzeba, przy wiązaniu snopa lub sianożęci. — Czas letni pochłaniały im roboty w ogrodach warzywnych, które zaprowadzono prawie przy każdej chacie, jak również w tych miejscach, gdzie grunt dał się stosownie pod warzywa użyć. Inżynier gminny,

pozaprowadzał wyborne nawodnienie i ogrody w Lipniu dostarczały nawet w czasie lat suchych, przepysznych warzyw, jakie trsnsportowano koleją do pobliskiego miasta gubernialnego, a nawet i do Warszawy.—Niebrakło również zajęcia na jesień, południowe bowiem stoki gór zasadzono drzewami owocowemi; w latach małego urodzaju, świeży owoc upakowany w koszyki, transportowano do miasta lub odstawiano do Warszawy, gdzie znajdował się komisant, ułatwiający zbyt po owocarniach; w czasie wielkiego urodzaju owoców, a ztąd i niskich cen onego, suszono śliwki, gruszki i jabłka w osobno wystawionym piecu. Jeden młody człowiek, syn włościanina z Lipia, jeździł aż do Francyi i wyuczył się sposobu suszenia owocu, a robił to teraz tak zręcznie, iż suszki z Lipia, jako czyste i smaczne natychmiast znajdowały kupca. Sady te założone zostały na dawnych wygonach, również więc jak i stawy należały do całej gminy a dochody po otrąceniu kosztów, rozdzielane były między wszystkich mieszkańców.—Na wygony nikt bydła nie wysyłał w Lipiu, bowiem upowszechniło się trzymanie inwentarza na stajni, skutkiem siania dużej ilości roślin pastewnych. — Okazało się to daleko korzystniejszem, gdyż krowy

dobrze karmione, dawały dużo mleka, które zakupywano do serowni i maślarni urządzonej na jednej z zagród. Co rano i co wieczór można było widzieć w Lipiu duże, parokonne wozy rozjeżdżające po całej okolicy i zabierające od włościanek blaszane napełnione mlekiem, a zwracające puste naczynia. — W serowni zapisywano mleko i co piętnaście dni wypłacano piękne pieniądze, a oprócz tego w końcu roku rozdzielano między stowarzyszonych czyste zyski, które wypadały częstokroć bardzo wysoko.

Oprócz tych zajęć pobocznych, szła w Lipiu bardzo raźnie gospodarka rolna na wielką skalę; corocznie dwór wystawiał pewną ilość działek ziemi na sprzedaż, lecz wolno je było kupować tylko synom rodzin osiadłych w Lipiu; takim dawano grunta na rozpłatę, lecz kładziono im za warunek tryb gospodarowania jednostajny i tak urządzony, aby grunt jak największe przynosił korzyści.—Starsi włościanie, widząc z praktyki, doskonałe skutki takiej gospodarki, sami zgłosili się do zarządu z prośbą, aby ich przyjęto do spółki; tym sposobem ujednostajniono uprawę, zaprowadzono ulepszone narzędzia, a nawet wspólną młockarnię poruszaną siłą pary. Wósmym roku zaufanie ludności we wspólne

siły tak wzrosło, iż mieszkańcy Lipia wystawili w środku wsi, na przeciw dawniej już wzniesionej szkoły, pokaźny dom, w którym mieściła się duża sala na obrady i niedzielne tańce; jeden róg tego domu zajęty był na sklep z żelastwem i narzędziami, naftą, smarami, i t. d. i dokąd omijając małomiasteczkowe handle, zjeżdżali się wszyscy chłopi z okolicy; drugi róg mieścił handel pieczywa, mąki, kasz, soli, piwa, miodu i innych spożywczych zapasów. — Na placyku z tyłu budynku sterczały słup, trapez i karuzela, gdzie letnią porą po południu dzieci i wyrostki używali zabawy i ćwiczyli się w zręczności, jako przyszli ochotnicy straży ogniowej, którą urządzono we wsi.

Duszą całego tego związku rolnego był zarząd Lipia, który działał stopniowo, według udzielanych instrukcyj przez ks. Kalitę, nominalnego właściciela majątku Istotnie, książe był już tylko nominalnym właścicielem, pobierał bowiem jedynie cztery procent od włożonej, a nie upłaconej dotąd sumy na kupno Lipna. Resztę dochodów w połowie rozdzielał na tantiemy zarządu, a druga połowa kapitalizowała się na spłatę całej wartości majątku, który kiedyś miał przejść w ręce tych, co sami uprawiają ziemię.

Dzielnym wykonawcą planów ks. Kality, był Witold Saryusz. Młody gospodarz przekonał się wkrótce, że jego marzenie odzyskania ojcowizny było wprawdzie nie trudnem do urzeczywistnienia, ale w gruncie rzeczy nie prowadziło do istotnego celu i nie było godnem nakładu z życia całego. W naszych bowiem czasach nie o to idzie, aby utrzymać indywidualną własność ziemską w rękach starych a zwykle zwyrodniałych już rodów, ale o to, aby przy ziemi utrzymał się świeży miejscowy żywioł, który tę ziemię własnemi obrabia rękoma, a przez asocyacyę stanąć może na wysokości społecznej kultury, stawić opór niezwalczony ekonomicznie i uszczęśliwić dobrobytem największą liczbę zjednoczonych jednostek.—Dopóki Witold stał na gruncie rodowym, dopóty był Donkiszotem, sługą przeżytej idei, dopóty miał tylko swój interes na względzie, chociaż starał się go otoczyć nimbusem wszystkich racyj społecznych i ogólno-krajowych. Teraz pojął o co chodzi. Już nie własny ród ma on *odrodzić*, już nie dzieci swoich los zabezpieczyć i podpierać ramieniem i wysiłkiem inteligencyi, ale losy całej tej grupy ludzi, która wspólny z nim orze zagon. Ludziom tym nie wyświadcza on żadnych łask, którebyby wspaniałomyślnie darować, lub cofnąć

było można, ale z ludźmi tymi tworzy on wspólnie wielkie kółko mechanizmu społecznego, koło od którego los całości mocno jest zawisły. O ileż piękniejszy i wznioślejszy cel pracy! — Ale oto widzimy naszego bohatera, jak na dzielnym siwku, w towarzystwie Julka, który fabrykę w Zaosiu na podobnychże współdzielczych urządził zasadach, jedzie sobie stępa przez wieś, oddając i odbierając ukłony na lewo i prawo. — Panowie na dziedzińcu dworskim oddali konie i boczną aleją podążyli do niezbyt rozległego, ale z wzorową świetnością urządzonego ogrodu. Na pięknym tarasie do połowy ocienionym werendą, siedziało towarzystwo, którego młodsza część bawiła się podrzucaniem wolanta. — Była to dzielna trójka młodych Saryuszów, świadcząca że starożytny ten ród niema wcale zamiaru wygasnąć. — Na prawo, ks. Paweł bardziej jeszcze posiwiały, ale czerstwy i uśmiechnięty, z zajęciem śledził swego przeciwnika w szachach. Był nim p. Stefan Saryusz, starszy brat Witolda. — Znakomity historyk utył, wyłysiał, ale nie stracił swej dystyngowanej powierzchowności i pięknych sumiastych wąsów. Tylko fizyognomia jego piękna i typowa, nabyła tej swobody, jaką daje zgoda wewnętrz-

na. — Pan Stefan od ośmiu lat już był z żoną rozwiedziony, gdyż hrabina Ernestyna zaraz po nieudałym pożarze fabryki, wyjechała do Paryża i tam uwikławszy w swe sieci bogatego i arystokratycznego włocha, postarała się o rozwód i wyszła powtórnie za mąż, odgrywając znakomitą i wpływową rolę w dyplomatycznych sferach stolicy Francyi. — Zerwanie z żoną Stefan przyjął jako dobrodziejstwo, zwalniało go bowiem od nienaturalnych związków i zwracało ulubionej nauce. Teraz osiadł przy bracie w starem ukochanem Lipiu, pełen spokoju i zapału oddał się pracy historycznej, tworząc istotnie znakomite na tem polu dzieła. — Przekonał się, że nawet materyalnie zajęcie to nie jest bezkorzystne, mógł bowiem z tego źródła opędzać skromne swe potrzeby.

Na środku tarasu przy stoliku siedziało troje osób, dwie kobiety i mężczyzna. Jedna z kobiet, szatynka o niebieskich oczach — to Marynia, dziś szczęśliwa żona Witolda Saryusza i matka dzielnej trójki, zabawiającej się w wolanta. Przegląda ona świeżo przyniesiony pakiet z poczty: są to miesięczne raporta wielkiego magazynu mód i szwalni bielizny pod firmą „Marie". Zakład ten urządzony jest na zasadach współdzielczych i sto i

pod przewodnictwem „Panienki", tak bowiem wszyscy bliżsi nazywają wychowanicę Maryni; zarząd tworzą córki poczciwej Marcinowej, zawiadujące każda oddzielnym działem: strojów, kapeluszy i bielizny. — Wszystkie starsze panny, są stowarzyszonemi, a wszystkie robotnice należą do menażu, nad którym trzyma opiekę Marcinowa. Matką atoli zakładu jest Marya; corocznie spędza ona dwa lub trzy zimowe miesiące w Warszawie i wtedy sama kieruje przedsiębiorstwem. Magazyn idzie świetnie; daje duże zyski, których połowa rozdziela się między stowarzyszone, a połowa amortyzuje kapitał zakładowy; kiedyś więc będzie to własność zjednoczonych pracownic, dająca im chleb za ciężką, znojną własnoręczną pracę.

Obok Maryni, na bujającym się fotelu siedzi Natalka: z pięknej tej niegdyś kobiety, została ruina znurtowana chorobą. Atoli zupełny spokój, unikanie wrażeń wyczerpujących, starania siostry i wuja, zagoiły rany i utrzymują nieszczęśliwą kobietę przy życiu. Rozmawia ona z Juliuszem, który po pożarze fabryki opuścił wraz z Ojcem Rafaelem kraj, zrzucił sutanę i w Paryżu oddał się studyom medycznym. Po ukończeniu kursów i zło-

żeniu egzaminów doktorskich, wrócili obaj do ojczyzny, gdzie stary zakonnik pielęgnując chorych cholerycznych, życie na ołtarzu ludzkości położył. Juliusz korzystając z pięknej i sposobnej okolicy Lipia, gdzie został doktorem gminnym, założył stacyę klimatyczną dla piersiowo chorych. Znakomity talent lekarski Juliusza, jego anielski charakter zyskały mu rozgłos, a jego poświęcenie dla ludu, uczyniły go bożyszczem okolicy. W tej chwili właśnie, ukazał się Witold i Julek... a na twarzy Natalki, wykwitł rumieniec radości.. Biedna kobieta kochała, a młody człowiek odpłacał jej pełną życzliwości przyjaźnią. — Witold wziął najmłodszego syna na barki i śród radosnego okrzyku całego zgromadzenia, obnosił go po tarasie.

To są ludzie szczęśliwi — mający wzniosły cel w życiu.

* * *

Po za rzeczką i lasem, rozciągają się Słomiany... Wśród wieńca chat, sterczy dumnie klasztor z cudami słynącą statuą. O. Hyacynt jest tu gwardyanem. Tłumy ludu spieszą z całego kraju podczas uroczystych dni świątecznych. — Czemuż

jednak to mrowisko ludzkie nie przynosi mieszkańcom dobrobytu, spokoju, zadowolenia?— W Słomianach chaty się walą, pola wyjałowione liche rodzą plony, mieszkańcy odarci słyną z najgorszych obyczajów, pijaństwa a nawet i zbrodni... Tylko klasztorowi dobrze się dzieje, tylko Szloma siedzący na propinacyi, wypycha sobie z krwi i potu ludu wyciśniętem złotem kieszenie. — Gospodarstwu we wsi odpowiada gospodarstwo we dworze Słomiańskim, a panuje tu J. W. pan Brobek ze swoją córką, J. W. hrabiną Leokadyą z Brobków Wysokopolską, żoną hr. Gustawa. — Piękny hrabia czas jakiś opierał się swemu losowi, ale wierzyciele i pańskie nałogi, kazały mu poszukać ratunku w ożenku z wspaniałą córą byłego rządzcy Lipia. Dziś u boku swej energicznej połowicy, jest najpokorniejszym pasorzytem: je za dwóch, poluje, gra cichaczem w miasteczku z powiatowymi szulerami i drży przed swym „molem” w spódnicy. Stara hrabina siaduje jeszcze w salonie swych przodków, lub na tarasie pałacowym, wydekoltowana, z francuzką książką w ręku, ale już nie jeździ do Paryża, gdyż stary Brobek ani myśli o ponoszeniu kosztów podróży. Przebiegły pan komisarz nie dba

o gospodarstwo, którego nowszych form nie zna, grunta zapuścił, lasy wyrąbał, a propinacyą chłopów rozpaja. Lecz nosi on w swym pugilaresie pół powiatu zrujnowanych, apatycznych reprezentantów idei rodowej.

Biedni to straceńcy! przeżyci!

Czytelnik niech osądzi, po czyjej stronie leży siła i przyszłość.

KONIEC